
GŁOSY PODOLAN



Nr 149

LIPIEC-SIERPIEŃ

2018 r.



BIULETYN KLUBU "PODOLE" TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW
LWOWA I KRESÓW PŁD. WSCHODNICH W WARSZAWIE

“Głosy Podolan”

Biuletyn Klubu “PODOLE” Stołecznego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Zespół Redakcyjny:

Irena Kotowicz Redaktor Naczelny oraz członkowie redakcji

ISSN 1507-9996

Adres Redakcji:

Irena Kotowicz
ul. Narbutta 37 m 11
02-536 Warszawa
tel. (022) 849-87-58

Adres e-mail : igor_mode@wp.pl

Konto bankowe:

Klub “Podole” TML i KPW
Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 64
PKO BP VI O/Warszawa
Nr 87 1020 1068 0000 1902 0060 9651

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania
i adiustacji nadesłanych tekstów.

Druk: drukarniaosiedlowa.pl - Wrocław

Na okładce: *Tembowla - widok ogólny, lata 20 XX wieku*

SPIS TREŚCI

Robert SZCZERKOWSKI

Relacja z uroczystości nadania imienia płk. Przemysława
Nakoniecznikoffa Placówce Straży Granicznej w Kielcachs.1-2

Jerzy BESKI

Moje Podole – Wspomnienia - część V (ostatnia)s.2-19

Józef WYSOCZAŃSKI

Wspomnienia zesłańca Sybiru - część II (ostatnia).....s.19-26

Irena KOTOWICZ

Edward Słobodziński i jego działalność dla Budzanowa.s.26-31

Igor MEGGER

Książd Ludwik Peciak z Kołomyi - errata i nowe informacje
.....s.32-34

Robert SZCZERKOWSKI

Płk Przemysław Nakoniecznikoff - niepublikowane fotografie.
.....s.34-37

Igor MEGGER

Ś.P. Ojciec Reginald Wiśniowski - 1920-2018.....s.37-38

Igor MEGGER

Ś.P. Bolesław Herman 1925-2020.....s.39-41

Hanna DOBIAS-TELESIŃSKA

Ś.P. Danuta Maciejewska 1930-2020.....s.42-48

Hanna DOBIAS-TELESIŃSKA, Igor MEGGER

Dr Iwo Werschler –Wspomnienie w 5 rocznicę śmierci..s.48-52



Robert Szczerkowski
Wrocław

Relacja z uroczystości nadania imienia płk. Przemysława Nakoniecznikoffa Placówce Straży Granicznej w Kielcach

19 października 2018 roku odbyła się uroczystość nadania imienia płk. Przemysława Nakoniecznikoffa (błędnie podano płk. Przemysława Nakoniecznikoffa-Klukowskiego - przyp. R. Sz.) Placówce Straży Granicznej w Kielcach. Wszystko odbyło się terminowo, zgodnie z wcześniej ustalonym harmonogramem. O godzinie 12.00 rozpoczęła się Msza Święta w Bazylice Katedralnej w Kielcach pod przewodnictwem ks. Biskupa Jana Piotrowskiego - ordynariusza diecezji kieleckiej, poświęcona patronowi.

Następnie o godzinie 13.30 na terenie Placówki Straży Granicznej w Kielcach przy ul. Kusocińskiego 51 (przed II wojną światową miejsce stacjonowania 2 pułku artylerii lekkiej Legionów) zaczął się uroczysty apel z udziałem wojewódzkich i lokalnych polityków, z Wojewodą Świętokrzyskim panią Agatą Wojtysek. Odślonięto tablicę pamiątkową dedykowaną płk. Nakoniecznikoffowi, ufundowaną przez delegaturę Instytutu Pamięci Narodowej w Kielcach, którą poświęcił ks. Biskup Jan Piotrowski. Całość oficjalnych ceremonii zakończyła się ok. godz. 14.30. Potem był poczęstunek, dla zaproszonych gości, w pobliskiej restauracji (przed wojną mieściło się tam kasyno 2 p. art. lek. Legionów).

Warto wspomnieć, iż uroczystość w Kielcach jest drugim urzędowym upamiętnieniem płk. Przemysława Nakoniecznikoffa. Wcześniej, w 2013 roku, Rada Miejska w Lubaczowie stosowną uchwałą nadała jednej z ulic w tym mieście nazwę: Gen. Przemysława Nakoniecznikoffa (powinno być płk. Przemysława Nakoniecznikoffa - przyp. R. Sz.).



Od lewej strony stoją: pierwsza - Agata Wojtyszek, Wojewoda Świętokrzyski, drugi - Robert Szczerkowski, autor książki o działaniach 163 rez. pp w kampanii polskiej 1939 roku, trzecia - Jadwiga Letka, bratanica drugiej żony płk. Przemysława Nakoniecznikoffa

*Jerzy Beski
Opole*

Moje Podole

Wspomnienia – część V, ostatnia

W sąsiedztwie miasta uruchomione zostały dwa lotniska. Od czasu do czasu powietrze nad nami przecinały gonące się nawzajem ruskie i niemieckie myśliwce.

Był piękny wiosenny przedwieczór, Już po zachodzie słońca, na ciemniejącym błękitnie bezchmurnego nieba, rozciągał się dramatyczny spektakl. Eskadra niemieckich ciężkich samolotów transportowych w nielicznej eskorcie messerschmittów, lecąc wysoko, zdążyła na wschód. Według później zasłyszanych komentarzy, był to ratunkowy rejs, mający wspomóc okrążone jednostki niemieckie. W czystym,

kryształowo przejrzystym powietrzu widoczność lecących samolotów była doskonała. Trzeba podkreślić fakt, że ówczesne samoloty wykonywały ewolucje w bardzo wolnym tempie w porównaniu do dzisiejszych odrzutowców. Bitwa na niebie przebiegała jak w zwolnionym filmie.

Z okolicznych lotnisk, niczym z gniazd szerszeni, wyroiły się maszyny „istiebitieli”, śmignę samoloty szybko nabierały wysokości i zaatakowały prącą przed siebie eskadrę. Na niebie rozegrała się niezwykle precyzyjna choreografia morderczego baletu. Strugi kolorowych pocisków splatały się i rozplatały. Zmieniały kierunki, by nagle zadać cios. Potwierdzał go pomarańczowy rozbłysk rozerwanej maszyny, albo czarny warkocz ciągnący się za spadający już martwym myśliwcem. Nieliczna osłona transportowców została szybko rozbita. Rozpoczęła się rzeź niemieckich nieruchawych maszyn. Co chwila któryś rozpadał się w śmiertelnym rozbłysku. Cała scena walki i kłęski przybiegała w absolutnej ciszy. Rozegrała się daleko, wysoko, w absolutnej bezdźwięcznej przestrzeni.

Front zatrzymał się na rzece Strypie. Do naszych uszu dochodziły pomruki linii frontowej i salwy armat, katuszy. W strefie przyfrontowej wysiedlono wszystkie wioski. Rodzina z Warwaryniec ewakuowała się wraz z całym inwentarzem do nas. Dom ożywił się, zatętnił krzątaniem. Do obowiązków koziarza dorzuciłem ochoczo powinność koniopasa. Do pastwiska nad rzeką było kilkaset metrów, ale tak nieduża odległość przebyta na grzbiecie konia sprawiała mi wielką przyjemność.

Uszykowałem sobie nawet coś, co pełniło rolę siodła ze strzemionami. Niestety, nie miałem z czego zrobić popręgu i to siedzisko na końskim grzbiecie było mocno chybotliwe. Przekonałem się o tym, gdy jakiś smarkul niespodziewanie uderzył metalowym prętem tylne nogi konia. Biedna konisko wykonało gwałtowny skok, a ja wraz z moim niby siodłem fiknąłem koziołka przez jego zad i wylądowałem na drodze.

To zdarzenie przeraziło mnie i długo z niepokojem obserwowałem, czy nie pojawią się jakieś groźne następstwa. Wszystko to stąd, że znałem historię ułomności wujka Włodka. Wujek był garbusem, w dzieciństwie przydarzył mu się dokładnie

taki sam wypadek. Dla niego identyczny upadek z konia miał dramatyczny skutek. Zaczął rosnać mu garb.

Wujek Włodek znosił swój los ze stoicyzmem. Był pogodny, chętnie żartował. Bardzo go lubiłem i w codziennym kontakcie z nim czułem się tak dobrze, jakby nie dzieliła nas różnica 20 lat.

Była piękna wiosna. W Zielone Świątki wujek postanowił odwiedzić wioskowych sąsiadów rozproszonych w okolicach Trembowli na ewakuowanych kwaterach. Z entuzjazmem przyłączyłem się do jego wyprawy. Pojechaliśmy... Kiedy wczesnym popołudniem w kolejnej miejscowości, zobaczyłem, że nad Trembowlą krążą sztukasy, nurkują i zrzucają bomby, ze ściśniętym sercem słuchałem odległego pomruku detonacji. Dręczyły mnie najgorsze przecucia.

Kiedy pospiesznie wróciliśmy, zobaczyliśmy upiorny obraz. Miałem natrętne wrażenie, że wjeżdżamy w obce, nieznane miasto. Główna ulica biegnąca wzdłuż dworca była zupełnie wyludniona, dużo domów zburzonych, wszystko pokrywał całun martwej szarości. Ulice, drzewa, kalekie budynki powlekał proch zmielonego przez bomby tynku. Z daleka widać było, że sylwetka naszego domu jest dziwnie zmieniona. Kiedy się zbliżyliśmy, ujrzałem puste otwory po oknach i nagie mury pogorzeliska.. Koń stanął, ale ja nie miałem siły wysiąść z wozu. Nagle z cienia resztek domu wyszedł Staszek. Czekał na nas, żeby wskazać nowe miejsce przesiedlenia.

Wszyscy przeżyli ten, jak się okazało, ostatni atak lotniczy. W dom nasz trafiła bomba zapalająca, wybuchła w naszym dużym pokoju, ogień bardzo szybko się rozprzestrzenił. Zdołano ocalić tylko amerykański kufer. Kiedy ludzie rzucili się na ratunek, na strychu eksplodowały dwie bombki-myszki. Dorobek całego życia taty skurczył się do jednego metra sześciennego pojemności kufra. Były w nim dokumenty i trochę pościeli. Nie posiadaliśmy już nic więcej ponad odzież, którą mieliśmy na sobie i dwie kozy.

Schronienia użyczyli nam państwo Muszyńscy. Ich obszerne gospodarstwo rolne znajdowało się na obrzeżach przedmieścia Sady. Jeden z trzech synów był przyjacielem Staszka, drugi moim kolegą z klasy.

Znaleźliśmy się pod jednym dachem z nieznaną rodziną. Byli bardzo religijni, ale bez żadnej dewocji, ujmująco prości, szczerze otwarci i pogodni. Wszyscy podporządkowani niewzruszonemu autorytetowi rodziców. Państwo Muszyńscy, serdeczni i przystępni, mieli w sobie coś patriarchalnego. Emanowali godnością, spokojem, była w nich pewność, że panoszące się zamęt i zbrodnia są zwykłą marnością świata. Zawdzięczamy im kilkutygodniową przerwę w uczestniczeniu w wojennym młynie.



Front ruszył, wysiedleńcy mogli wrócić do swoich domów. Staszek został w mieście. Ja pojechałem z rodzeństwem do Warwaryniec. Gospodarstwo powoli wracało do rytmu codziennych prac. Jednak normalne wiejskie bytowanie nie było już możliwe. Naprzód na podwórze wszedł rosyjski żołdat, prowadząc konia. Zajrzał do stajni i bez słowa wyprowadził wujkową klacz, przeniósł na nią uprzęż i siodło z przyprowadzonego konia, dosiadł ją i i pojechał sobie. Wujek również bez słowa, wprowadził do stajni pozostawioną chabetę. Wkrótce się okazało, że zwierzę jest znarowione, dotknięte szaleństwem. Ale wujek już nie miał czasu zająć się nim. Został

wezwany na komisję lekarską i, mimo oczywistego kalectwa, wysłany do przymusowej pracy w kopalni węgla w Donbasie.

Zostało nas troje na gospodarstwie: babcia już mocno niedołężna, ciocia i ja. Pomagałem jak potrafiłem. Mnie wypadło zając się koniem i transportem. Miałem niezłe kłopoty ze zwierzęciem z demobilu. Przy każdym trudniejszym zadaniu koń w najlepszym razie odmawiał podjęcie wysiłku. Ponaglany szalał, wierzgał, targał uprząż, aż się obawiałem, że może się okaleczyć. Pola wujostwa rozrzucone były w różnych miejscach, nieraz odległych. Do jednego z nich trzeba było pokonać 12 kilometrów. Praca w polu nie budziła we mnie żadnego entuzjazmu. Uważałem, że jest przeraźliwie nudna i ogłupiająca. Kto spędził cały dzień np. przy plewieniu, ten rozumie o czym mówię. Czasem przyroda urozmaicała monotonię dziarskiej mitręgi.

W piękny, bezchmurny dzień, poszliśmy z ciocią w pole, aby oczyścić z ostów ocalały zagon zboża. Okolica była płaska, bez żadnego pagórka w krajobrazie, z wyjątkiem stebnika z pasieką, stojącego w odległości dużo kilometrów. Kiedy byliśmy w połowie zagonu nad horyzontem pojawiła się chmurka. Bardzo szybko pęczniała aż przeistoczyła się w groźną, ciemną chmurę. Zaczęła błyskać i szybko się zbliżać. Nie mieliśmy wyboru. Pobiegliśmy, gęsto bijącymi piorunami, do stebnika.

Gdy otworzyliśmy drzwi okazało się, że już jest w nim pełno ludzi.

Pioruny strzelały jeden po drugim, a my w trwożnej ciszbie czekaliśmy tylko, kiedy trzaśnie w nas. Mieliśmy dużo szczęścia, bo się tego nie doczekaliśmy. Lato było burzowe słomianodacha wieś każdą nawałnicę z piorunami odzęgnywał zapalonymi gromnicami i i głośnymi modlitwami.

Ale nie było czym odzęgnywać ukraińskich nacjonalistów, we wsiach bandy były jedyną rzeczywistą i bezwzględną władzą. W sobotnie popołudnie pojechałem na nieodległy zagon nakosić koniczyny. Zmierzchało się kiedy wróciłem. Wjechałem na podwórze, wyprzągłem konia, dosiadłem go i skierowałem do płynącej nieopodal rzeczki, żeby go napoić. Koń wszedł w płytki nurt wody tuż obok mostu. W gęstniejącym mroku zobaczyłem nieduży oddział mężczyzn w sowieckich mundurach. Szli leniwym krokiem, spokojnie rozmawiając. Weszli na most i kiedy

zobaczyli mnie zatrzymali się. Kilku oparło się o balustradę. Zamajaczyła lufa pepeszy. Nie speszyłem się. Byłem pewny, że są to rosyjscy żołnierze. Co mógł ich obchodzić wyrostek na koniu? Na pytanie: „Ty czyj?” odpowiedziałem odruchowo nazwiskiem sąsiada Ukraińca. Miał syna w moim wieku, a ja już wcześniej stosowałem zasadę, że bezpieczniej jest nie chwalić się swoim polskim nazwiskiem. Poszli dalej.

Wróciłem na podwórze, konia uwiązałem przy żłobie i skierowałem się do domu. Był zamknięty na glucho, w oknach ciemno. Zacząłem łomotać u drzwi i głośno wołać. Po dłuższej chwili drzwi się uchyliły, ciocia szarpnięciem wciągnęła mnie do sieni i szybko zasunęła rygiel, wepchnęła mnie na drabinę wiodącą na strych, upominając z naciskiem, żebym był cicho. Dopiero na strychu, gdzie skryła się z babcią, powiedziała mi, że Ukraińcy zamordowali ośmiu Polaków.

Więc ci spotkani na moście to przebierańcy. Spacerowali sobie po wiosce i robili swoje narodowe porządki. Byłoby paskudnie, gdyby wśród nich był sąsiad, którego nazwisko na chwilę sobie pożyczyłem.

Typową taktyką nacjonalistów były starannie zaplanowane napady dokonywane dużymi siłami. Tak zaatakowany został pobliski Strusów. Upowcy silnym ogniem zmiażdżyli wszystkie ogniska oporu i przez kilka godzin sycili się swoją krwawą władzą. Zginął wtedy nasz znajomy „istriebitiel”, syn Majera, który również został zamordowany przez upowców.

Nadeszły żniwa, było trudno, bo byłem słabiutkim kosiarzem. Z pomocą sąsiadów udało się na czas uprzątnąć z pól skromny urodzaj. Na okres wykopków z Donbasu wrócił wujek Włodek, poszarzały i wynędzniały. Według jego relacji uwolnili go, bo nie mieli normy dla garbatego.

Uznałem, że dość już mego przebywania u wujostwa. Poszedłem do Trembowli, Dobosz i kozy zostały na wsi. Staszek został wcielony do „istiebitylnych batalionów”. Była to milicja formowana z młodzieży polskiej w wieku przedpoborowym. Zadaniem tej formacji było zwalczanie ukraińskiej partyzantki, banderowców. Dowodzili sowieccy oficerowie. Te bataliony miały bardzo złą sławę, głównie z powodu wielkich strat, które ponosiły w walkach z zaprawionymi

w partyzanckich bojach Ukraińcami. Poza tym zwalczanie band było bardzo mało skuteczne. Radzieckiej władzy ukraiński terror wobec Polaków był na rękę. Przyspieszał tzw. repatriację polskiej ludności.

Staszek i jego bliscy przyjaciele potrafili się tak urządzać, że zostali odkomenderowani do ochrony banku. Pełniki wartę na kilka zmian przez 24 godziny. Poza służbą, mimo braku formalnego pozwolenia, wszyscy wartownicy chodzili z bronią. W ogóle zaistniała sytuacja łatwego dostępu do broni, a nawet jej nadmiaru. Kto chciał, miał tyle broni ile mu się podobało. Nawet ja miałem.

Częściej teraz wędrowałem między miastem a wsią. Był to jedyny dostępny nam sposób zaopatrywania się w żywność. Raz nawet wyprawilem się do odległej miejscowości Proszowa, do popa, który czynnie uczestniczył w pochówku ojca. Deklarował bowiem po pogrzebie, że jego spizarnia stoi dla nas otworem. Dowlokłem się tam na wieczór. Przyjął mnie gościnnie i przenocował. W nocy zbudziły mnie intensywne szepty prowadzone z przybyłymi ludźmi. Proszowa miała złą sławę ukraińskiego gniazda szerszeni. Wracając do Trembowli miałem woreczek kaszy, połąć słoniny i masło.

W wędrownkach nieraz udawało się korzystać z wojennego autostopu. Szoferzy wojskowych ciężarówek dość chętnie brali podróżnych na pakę albo do szoferki. Dobrze było mieć pudełko papierosów na poczęstunek. Dla takiego wyrostka jak ja, odbywanie marszów było w zasadzie bezpieczne. Miałem świadomość, że korzystanie z autostopu jest związane z zachowywaniem konkretnych zasad. Nigdy nie próbowałem zatrzymać samochodu na drodze biegnącej przez las lub w miejscu zasłoniętym krzewami, bo na ogół szoferzy liczyli się z niebezpieczeństwem zasadzki.

Jednak miałem raz taki przypadek. W miejscu, z którego był otwarty widok na każdą stronę, daję znak, żeby ciężarówka się zatrzymała. A tymczasem szofer dodaje gazu, szyba w drzwiach się opuszcza i z szoferki wysuwa się ręka z pistoletem mierzącym we mnie.

W Trembowli trochę koczowaliśmy u przyjaciół. Staszek szukał jakiegoś sublokatorskiego przytuliska. Czysz nie mógł

przekraczać jego marnego żołądu. Zdecydował się na łóżko w ciasnej kuchni u kobiety z dwojgiem małych dzieci. Jej mąż, oficer kawalerii, przepadł bez wieści w odmętach wojny. Najprawdopodobniej w KATYNIU. Dzielna kobieta wszystkimi dostępnymi sposobami walczyła o przetrwanie. Na okres jesieni i zimy to łóżko u młodej wdowy było naszym miejscem przetrwania i jedynym mierzonym centymetrami obszarem, do którego mieliśmy prawo. Na nim spaliśmy we dwóch, ledwo się mieszcząc, tu spędzaliśmy wolny czas, jedliśmy, czytaliśmy. Dużo czytaliśmy. Był to jedyny dostępny luksus. Jedliśmy bardzo marnie. Poranna czarna kawa z chlebem bywała nieraz jedynym gorącym posiłkiem.



Ze Staszkiem w Opolu na Wyspie Bolko

W mieszkaniu naszej gospodyni nie było bieżącej wody. Trzeba było wędrować z wiadrami do studni, a z potrzebą do wychodka na podwórzu. W zimowy późny wieczór, gdy wyszedłem z mieszkania, usłyszałem silną wymianę ognia z broni maszynowej i wybuchy granatów. Bez żadnej wątpliwości dochodziły z miejsca, w którym stał bank. Staszek miał właśnie

nocną zmianę. Bezsenna noc wypełniona najgorszymi obawami ciągnęła się nieskończenie długo. Rano przyszedł Staszek zdrów i cały. Powiedział, że był napad na bank, ale się obronili. Nikt nie został nawet draśnięty. Pobiegłem obejrzeć ślady kul na tynkach, na gęsto podziurawionych szybach.

Sporo lat po wojnie Staszek opowiedział mi, że napad był sfingowany. Sami wartownicy urządzili kanonadę. Jej celem było zapobieżenie redukcji ochrony banku. Otrzymali wiadomość, że w komendanturze miasta rozważany jest postulat zmniejszenia liczebności bankowych wartowników.

Staszek służył w ochronie banku aż do naszego wyjazdu na Zachód.

W mieszkaniu wdowy miałem okazję zetknąć się z interesującymi ludźmi. Radzieckie siły zbrojne dysponowały oddziałami frontowej służby pomocniczej. Byli to ludzie w wieku 55 – 65 lat, a nawet starsi. Przyszło ich kilku przenocować. Od razu zrobiło się ciasno w kuchni, bo też byli to wielcy, rozrośnięci mężczyźni. Bez oporów porozumiewałem się rosyjskim językiem, więc nawiązałem z nimi rozmowę. Byli to Rosjanie z Uralu, mieszkańcy jednej wioski. Zawsze trzymali się razem. Byli pobożni – dyskretnie żegnali się i modlili. Rzuciła się w oczy i przykuwała uwagę odrębność ich osobowości. Byli bardzo łagodni i ujmująco skromni. Za wrzątek do cienkiej herbaty bez cukru dziękowali z wrodzoną kulturą. Nie zdejmując obuwia ani waciaków, położyli się na podłodze i zasnęli zdrowym snem. Rano znów napili się cienkiej herbaty, a jeden z nich przed wyjściem wydobył z kieszeni jedyny skarb jaki posiadał: troskliwie opakowaną garść herbaty. Dokładnie co do okrucha rozdzielił na pół swój rarytas i ze słowami „to dla twoich dzieci” wręczył gospodyni. Wychodząc podziękował za nocleg.

Rok 1945

Uradziliśmy ze Staszkiem, że trzeba kozy przyprowadzić ze wsi i sprzedać. Pogoda ustaliła się, było słonecznie, trochę mroźnie. Kaprysów zimy mogłem się nie obawiać. Miałem spodnie uszyte z wojskowego koca, buty z cholewkami i kurtkę-waciac. Poszedłem, mając w planie przenocować u wujostwa, a w następnym dniu wyruszyć rano z kozami. Wędrówka powrotna przebiegła planowo, ale tylko do połowy drogi. Kozy coraz bardziej zwalniały, aż w końcu przestały iść. Musiałem dotrzeć do najbliższej wioski przy drodze.

Ciągnąłem więc kozy ślizgające się na sztywnych nogach. Zbliżał się wczesny zimowy wieczór. Potrzebowałem pomocy. Wszedłem do pierwszego z brzegu domu i posługując się ukraińskim poprosiłem o przenocowanie kóz do następnego dnia. Gospodarz Ukrainiec bez mitrżenia zgodził się, a nawet powiedział, że mogę u niego przenocować. „Po cóż będziesz po nocy iść taki kawał drogi do miasta, a jutro rano wracać po zwierzęta?” Bardzo chętnie przyjąłem propozycję. Ciąganie kóz zmęczyło mnie. W dużej, słabo oświetlonej izbie gospodyni zakrzętała się przy kolacji, kilkoro małych dzieci obsiadło stół. Przed każdym stał kubek z kwaśnym mlekiem. Posadzono i mnie przy stole. I przede mną postawiono kubek z kwaśnym mlekiem i łyżkę. Gospodyni umieściła na środku stołu dużą misę, wsypała do niej z wielkiego żeliwnego garnka ugotowane ziemniaki i okraszyła skwarkami. Jedliśmy bez pośpiechu, biorąc ze wspólnej misy kartofle. Nigdy przedtem ani potem ta prosta potrawa nie smakowała mi tak wspaniale.

Przenocowałem na ławie. Rano podjąłem dalszą wędrówkę, ale kozy nie mogły iść. Trzymane miesiącami w oborze na miękkiej ściółce, miały wydelikaczone kopytka. Marsz po twardej, zmrożonej drodze sprawiał im ból. Zostawiłem je u przygodnego gospodarza i po południu byłem już w domu. Nazajutrz sąsiad przywiózł kózki saniami. Kupiec znalazł się szybko. Skończyła się moja kariera koziarza.

Wczesną wiosną wynajęliśmy izbę w małym domku grabarza. W porównaniu z poprzednim mieszkaniem był tu

luksus. W niedużym, bielonym wapnem pomieszczeniu, pod okienkiem ustawiony był stół, przy nim dwa krzesła, dalej jedno łóżko, a w głębi kuchnia z fajerkami. Pod łóżkiem mieliśmy arsenał wyposażony w karabin mauser, automat pepeszę i kilka granatów. Nie wiem jak potrafiłbym wykorzystać to uzbrojenie w razie konieczności, ale w tamtych czasach broń pod ręką znakomicie poprawiała samopoczucie.

Zająłem się gospodarzeniem. Na targu można już było tanio dostać jaja, fasolę, kiszoną kapustę, kartofle. Gotowałem jednodaniowe obiady. Menu było bezmięsne, skromne, ale jedliśmy do syta i gorące. Pociski leciały w powietrze na wiwat. 9 maja w mieście wybuchła nagle wielka strzelanina. Zaraz następnego dnia Staszek spotkał znajomka ze wsi. Dowiedział się od niego, że właśnie koczuje z rodziną na rampie kolejowej w oczekiwaniu na pociąg, którym wyjadą na Zachód. Zaczęli drażnić temat i w rezultacie ułożyli prosty plan. Staszek zdobędzie pół litra wódki i dostarczy ziomkowi. Ten wręczy butelkę sowieckiemu komendantowi transportu i poprosi o wpisanie mnie i Staszka na wolne jeszcze miejsce w dokumencie repatriacyjnym. Powie, że jesteśmy krewnymi. Staszek miał powód, żeby myśleć o szybkim opuszczeniu Trembowli. Czyli obecnie tereny Związku Radzieckiego. Krążyła pogłoska, że wnet zarządzony będzie pobór do wojska, oczywiście radzieckiego i „istriebitielnyje bataliony” (a za tym i bankowe wartownie) zostaną wcielone do Armii Czerwonej.

W tamtym czasie plotki bywały bardziej wiarygodne od wiadomości w nieprawdopodobnej prasie. Należało być ostrożnym. W paszportach rodziców w 1940 roku zostało zapisane, że są obywatelami ZSRR. Do czegoś podobnego nie chcieliśmy dopuścić.

Nie było żadnych trudności z wpisaniem naszych nazwisk na kartę repatriacyjną. Spakowaliśmy się błyskawicznie, Wszystko, co mieliśmy, zmieściło się w kufrze. Problem posiłków podczas podróży rozwiązała pani Świetlikowska, mama bliskiego przyjaciela Staszka. Rano zaniósłem jej woreczek mąki i garnuszek smalcu, a wieczorem wręczyła mi pękaty mieszek wspaniałych, upieczonych na blasze placuszków. Były

jedynym pożywieniem w 10-dniowej podróży, bardzo smacznym i sycącym. Starczyło go na całą drogę.

Lokomotywa podtoczyła skład odkrytych wagonów towarowych. Nasz załadunek trwał chwilę. Wnieśliśmy kufer, pół worka węgla, bardzo wtenczas cenionego, koc, brezentową derkę i woreczek placków. Inni współpodróżni upchali swoimi manatkami otwartą lorę wysoko aż po wręgi. Po południu parowóz przeciągłym gwizdem dał znak, że ruszamy.

Siedząc na wierzchu spiętrzonego ładunku dokładnie widzieliśmy całe miasto. Był słoneczny majowy dzień. Przedmieścia SADY i SADYKI kwitły wielkimi białymi bukietami. Rodzinne miasto powoli oddalało się od nas, a my w głębokim milczeniu oddalaliśmy się od niego.

Z wujostwem odnaleźliśmy się w 1949 roku. Gospodarzyli w zielonogórskiej wsi. Pojechałem do nich. Jedno z pierwszych pytań dotyczyło Dobosza. Ciocia poczęstowała mnie niewiarygodną opowieścią, że jakiś radziecki funkcjonariusz polityczny wszedł w obejście, Dobosz zerwał się z łańcucha, zaatakował go i został zastrzelony. Opowiadka została zmyślona, żeby nie sprawić mi jeszcze większej przykrości opowiedzieli przedtem, że kiedy na zawsze opuszczali rodzinne progi w bramie minęli się z przesiedleńcami z Łemkowszczyzny, którzy natychmiast weszli w posiadanie gospodarstwa. Dobosz służył nowym panom. Tylko on jakoś żył na swoim.

Posłowie

Nie jestem literatem i obce mi są pisarskie ambicje. Napisałem te wspomnienia, żeby je utrwalić. Przyjąłem założenie, że mają być uczciwe i prawdziwe, pozbawione cienia konfabulacji. Często wolałem użyć o dwa słowa za mało niż o jedno za dużo. Staralem się, jak potrafiłem, przedstawić fakty tak, jak je wtenczas postrzegałem i rozumiałem. Przyjąłem też, że wystarczy opisać zdarzenia, by klimat tamtych lat stał się uchwytny i czytelny.

W rozmowach z młodszymi ode mnie ludźmi wyraźnie wyczuwałem niezdolność rozumienia faktów w ich ścisłym związku z klimatem czasów wojny. Zabory, deportacje, zamachy, masowe mordy, bieda, nękające zagrożenia, to konsekwencje odrzucenia i przekreślenia podstawowych nakazów etycznych. Wojna z dnia na dzień, w miejsce dotychczasowych, ustanowiła nowe, mroczne prawa. Prawa silniejszego, wszechwiedzę przemocy, głównym narzędziem wojennego porządku była broń. Po przejściu frontów było jej wszędzie w nadmiarze. Morderstwo, za które w czasie pokoju groziła szubienica, w tamtych zezwierzęconych czasach było banalnie proste. Wystarczyło pociągnąć za spust. Taki był klimat tamtych czasów. W latach 1944-1945 w okresie chłodu, gdy w grubej odzieży łatwo coś ukryć, zabierałem ze sobą na wędrowną po wsi i z powrotem, zabierałem dwa niemieckie granaty, tak zwane „jaja”. Po co nosiłem je ze sobą? Cel był wówczas oczywisty i jednoznaczny. Granaty, które wcale nie zwiększały mojego bezpieczeństwa, mogłem użyć w sytuacji ostatecznej. „Może uda mi się rzucić w nich, nim mnie załatwią”. Taki był tor mojego myślenia i nie tylko mojego, Staszek wiedział o „jajkach” i najwidoczniej noszenie ich zaakceptował, bo nic mi nie mówił. Kiedy mieszkaliśmy w domku grabarza, przynosił broń i pokazywał jak się nią posługiwać. Takie były czasy. Dzisiaj wlokący się obrzeżem drogi 14-letni wyrostek z granatami w kieszeni, to obrazek groteskowy i śmieszny. Nam wtedy nie było do śmiechu.

Kiedy wspominaliśmy czasem tamte lata, Staszek nieraz wprawiał mnie w zdumienie. W jego pamięci wspólnie przeżyte zdarzenia rysowały się często inaczej niż w mojej. Zapewne już ja jego również zadziwiałem swoją subiektywną pamięcią. Kiedy Stach umarł, uświadomiłem sobie, że również odszedł na zawsze cały jego świat.

Być może pośród całkiem jasnych powodów, dla których spisałem wspomnienia, jest i ten, żeby częśćka mojego świata zachowała się w tej skromnej formie.



Jerzy Beski z zaprojektowanym przez siebie nowym herbem Miasta Opola

Prof. Stanisław Nicieja - wstęp do wspomnień J. Beskiego

Nostalgia przywołująca obraz domu rodzinnego z lat dzieciństwa dotyka wszystkich, zwłaszcza gdy przekracza się Conradowską smugę cienia; gdy już się wie-jak mówi poeta- „że bliżej jest niż dalej”. Jedni doznają tej nieco smutnej błogości wcześniej, inni później. Są tacy, którzy to muszą komuś opowiedzieć, są także inni, których wewnętrzny imperatyw skłania aby to zapisać.

Ten ostatni objaw wystąpił dość niespodziewanie u Jerzego Beskiego, który, sam tym zaskoczony, nagle odłożył pędzel malarza i wziął do ręki pióro, aby opisać swoje lata chłopięce przeżyte na Podolu, w legendarnej Trembowli i jej okolicach. Podole, utracone przez Rzeczypospolitą w 1945 roku, to ziemia żyznych pól i licznych rodzących się tam ludzkich talentów, ale też dzielnica, w której zróżnicowana narodowościowo ludność doznawała przez wielki od Turków, Tatarów, Wołochów, Kozaków, Rosjan i Niemców niebywałych okrucieństw. Pokolenie, do którego należy Jerzy Beski, doświadczyło tych

wszystkich niegodziwości w wyjątkowym stężeniu. W krótkim czasie swoich chłopięcych lat przeżył tam dwie okupacje i widział bezkarnych morderców w mundurach, którzy-raz mówiąc po rosyjsku, raz po niemiecku, to znowu po ukraińsku- dokonywali morderstw i rabunków, głosząc przy tym ideologie nienawiści. Beski miał szczęście, że przeżył ten okrutny czas i może go dziś opisać- dać świadectwo prawdzie.

Trembowla, jego miasto rodzinne, leży nad rzeką Gniezną, u jej ujścia do Seretu. Otoczona była potężnymi lasami dębowymi i bukowymi. Nazwa jej pochodziła od masowego wyrębu drzew w tych okolicach na cele budowlane, bo „terebyty” to ukraińskie „trzebić”, „wycinać”. Poeci zwracali jeszcze uwagę, że miasto otaczał zadziwiający zapach leśnych ziół, a w Serecie żyły niezwykle okazałe szczupaki, będące przysmakiem wigilijnych stołów.

Swoje pięć minut w historii Trembowla miała w połowie XVII wieku, kiedy Polska po długotrwałych wojnach z Turcją straciła Kamieniec Podolski- jedną z największych swych twierdz. Wówczas na kilkadziesiąt lat granica południowa Rzeczypospolitej cofnęła się głęboko na Podole. Najpotężniejszą warownią, która stanęła wówczas na drodze Turków pragnących zająć Tarnopol i Lwów, była właśnie Trembowla. Turcy mówili: Wzięliśmy Polakom Kamieniec. Jeśli weźmiemy im jeszcze Trembowlę, to cała Ruś i Podole nasze”. Wtedy to zrodziła się legenda o Zosi Chrzanowskiej - polskiej Joannie d’Arc, która heroicznie przeciwstawiła się potędze tureckiej.

Z Trembowli pochodził też Bernard Pretwicz (ok.1500-ok.1563) słynny pogromca Tatarów, który był w pewien sposób związany ze Śląskiem, bo przyjaźnił się z księciem brzeskim Jerzym Wspaniałym - budowniczym śląskiego Wawelu. Pretwicz był namiętnym hazardzistą, któremu sprzyjało niezwykle szczęście. W historii Śląska zapisana jest legenda, że przejeżdżając przez Niemodlin, zagrał w karty z hrabią Laryszem i w pewnym momencie stawka poszybowała tak wysoko, że zagrano o zamek. Pretwicz jak zwykle miał fart i wygrał. Wówczas zamek w Dąbrowie Niemodlińskiej, dziś własność Uniwersytetu Opolskiego, na siedemnaście lat trafił w jego ręce.

Do dziś w herbie wiszącym na zamku w Dąbrowie Niemodlińskiej znajduje się szachownica.

Jerzy Beski (rocznik 1930) malarz, konserwator dzieł sztuki i mebli, dziś nestor polskich artystów, który od 65 lat mocno wpisuje swą biografię w dzieje Śląska Opolskiego, spędził w Trembowli 15 lat. Mieszkał przy głównej ulicy tego miasta, noszącej wówczas imię Zosi Chrzanowskiej, a później Józefa Stalina i Adolfa Hitlera (*signum temporis!*). Jego ojciec, Michał Beski (1885-1943), to piękna postać dobrze wykształconego polskiego rzemieślnika. Był wziętym krawcem. Pochodził z podtrembowelskiej wsi Warwaryńce. Po kursach w Wiedniu i Chicago, gdzie pracował kilkanaście lat (1904-1921) w znanych firmach jako mistrz kroju, wrócił do Polski z dużym doświadczeniem i kapitałem, i otworzył w Trembowli warsztat krawiecki, który zatrudniał do dziesięciu czeladników. Szyto tam głównie gotowe garnitury.

Michał Beski był powszechnie znany w Trembowli. Żonaty z krajanką Teklą Kalińską (1890-1943), miał z nią trzech synów: Czesława, Stanisława i Jerzego. Gdy do Trembowli weszli bolszewicy, skonfiskowali warsztat, ale nie zdążyli Beskiego wywieźć na Sybir jako „polskiego burżuja”. Za Niemców na krótko odzyskał warsztat, ale wkrótce, w 1943 roku, stracił żonę i sam zmarł po nieudanej operacji spowodowanej zapaleniem ucha. Spoczął na cmentarzu w Trembowli. W ciągu jednego roku, w 1943, Jerzy Beski, mając 13 lat, stracił rodziców. Był to potężny, ogłuszający cios. Jak dalej żyć w okrutnych czasach? Przeżył wojnę wspólnie ze starszym bratem Stanisławem.

W 1945 roku byli chłopcami - Stanisław miał lat 18, a Jerzy 15 lat - gdy z jednym tylko kufrem podróżnym opuszczali rodzinną Trembowle. Dom ich wówczas nie istniał, bo unicestwiła go niemiecka bomba w 1944 roku. W tym miejscu znajduje się obecnie dworzec autobusowy.

Dziś w pracowni Jerzego Beskiego na opolskiej Starówce w centralnym miejscu stoi ów drewniany kufer, z którym zmizerowani chłopcy z całym swym skromnym dobytkiem jechali transportem na zachód. Przybyli do Koźła i tam znaleźli swój nowy dom. Wkrótce Jerzy zdał małą maturę, poszedł do liceum plastycznego we Wrocławiu i jako

wyróżniający się maturzysta trafił do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Jego talent malarski rozwijał się m.in. pod kierunkiem Zbigniewa Pronaszki. W 1954 roku osiadł na stałe w Opolu, wiążąc z tym miastem swoje życie i twórczość. Jest autorem dziesiątków obrazów, które odnosiły sukcesy na prestiżowych wystawach w galeriach polskich i zagranicznych.

W rozmowie z Jerzym Beskim najbardziej zadziwiło mnie, że ci zabiedzeni chłopcy, kompletne sieroty, jadąc w 1945 roku z jednym kufrem na zachód, włożyli do niego dokumenty rodzinne, dziś bezcennej wartości: dyplomy krawieckie ich ojca, świadectwa ukończonych kursów, dyplomy wyróżnień i podziękowań za ofiarną działalność społeczną podpisane m.in. przez ówczesnego premiera Polski Felicjana Sławoja Składkowskiego i kilka unikatowych zdjęć rodzinnych trembowelskich fotografów.

Wspomnienia Jerzego Beskiego to przejmujący, dobrze literacko ujęty, dokument epoki. Wzrusza i zaskakuje niezwykłość pamięci autora, w której obok wizerunków najbliższych utrwaliły się obrazy ulubionych zwierząt, przedmiotów, topografia okolic. Zdarzenia tragiczne i zgoła śmieszne sąsiadują tu ze sobą z całą naturalnością - jak to i w samym życiu bywa. Są w tych wspomnieniach, bardzo oszczędnych w szafowaniu przymiotnikami wartościującymi, pięknie malarskie metafory. Beski opowiada o rodzinnej wsi rodziców, o Warwaryńcach, o niezwyklej karierze krawieckiej jego ojca, o niszczeniu przez okupantów Trembowli, zagładzie Żydów w tamtejszym getcie, wywózkach Polaków na Sybir i mordach banderowców na Polakach. Wspomina o tym, jak sam był nieraz na muszce ukraińskich nacjonalistów spod znaku Tryzuba, którzy mają na sumieniu tysiące niewinnych ofiar, zwłaszcza na Podolu i Wołyniu. Pisze też o okolicznościach, w jakich wyruszył z Trembowli wspólnie z bratem na Śląsk.

Dodatkowym walorem tych wspomnień są unikatowe ilustracje które podobnie jak ich właściciel cudem przetrwały wojenną pożogę i zbombardowanie rodzinnego domu w Trembowli. Dotychczas można było je oglądać jedynie po otwarciu „repatrianckiego” kufra w pracowni Jerzego Beskiego na opolskiej Starówce.

Dziękuję, Panie Jerzy, że zdecydował się Pan opublikować te dokumenty w literackiej, nostalgicznej oprawie.

Stanisław Sławomir Nicieja, Opole, maj 2010

Dr Józef Wysoczański
Poznań

Wspomnienia zesłańca Sybiru

cz. II (ostatnia)

Spotkanie z brunatnym niedźwiedziem syberyjskim.

Wraz z nadejściem pory letniej, my dzieci posiołka, łowiliśmy ryby w pobliskiej rzece i chodziliśmy do lasu po chrust potrzebny do palenia w piecu, przy którym mogliśmy się ogrzać i coś ugotować. Las był naszym sprzymierzeńcem, a porą letnią naszym żywicielem. Oprócz grzybów i jagód leśnych tajga obfitowała w drzewa limbowe uważane za symbol Syberii. Rosjanie nazywają limbę cedrem syberyjskim (*sibirskij kiedr*), na którym rosną wielkie szyszki pełne jadalnych nasion zwanych potocznie orzechami cedrowymi. Szyszki limbowe różnią się od szyszek innych sosen. Najpierw są fioletowe, kiedy dojrzewają stają się brązowe, mają one żywiczny smak i duże wartości odżywcze, jak również lecznicze. Nasionami cedru syberyjskiego (limby) żywi się wiele gatunków ptaków, ssaków, między innymi drapieżniki takie jak sobole i niedźwiedzie, które zjadają szyszki w całości. My z tych nasion robiliśmy zapasy na zimę i dzięki nim mogliśmy w dużym stopniu przetrwać przez ten trudny i długi okres zimowy.

Pewnego dnia latem wybraliśmy się we czwórkę (ja, moja młodsza siostra Janina i jeszcze młodszy brat Bolek oraz Władzia Szwaja, której rodzina mieszkała w sąsiedztwie) „na szyszki” do tajgi. Po uzbieraniu trochę szyszek wyszliśmy na drogę przecinającą tajgę i nagle ku naszemu przerażeniu na tej samej drodze w odległości około 150 m. od nas zobaczyliśmy potężnego brunatnego niedźwiedzia syberyjskiego, który zamierzał z pewnością przeciąć drogę w tym miejscu. W pewnym momencie

niedźwiedź stanął na dwóch łapach i zaczął się rozglądać na obie strony. Widziałem, że nas zauważył, bo moje oczy spotkały się z jego wzrokiem przez jakąś chwilę, ale my staliśmy na drodze jak wryci, zahipnotyzowani i sparaliżowani strachem, nie byliśmy w stanie uciekać. Myślałem, że zaraz nas zaatakuje i porozrywa na strzępy. Na szczęście niedźwiedź po rozejrzeniu się najwyraźniej nas zignorował i po chwili zniknął w głuchej tajdze. Dla mnie jest rzeczą oczywistą, że bardziej mu smakowały szyszki cedru syberyjskiego niż przerażone dzieci z dalekiej Polski. Po chwili dałem sygnał do odwrotu i zaraz całą grupą bieглиśmy co sił w nogach do naszego posiołka, by szukać schronienia w naszych barakach.

Jesteśmy niby swobodni. 14 sierpnia 1941 roku, niecałe dwa miesiące po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej (22.06.1941), został podpisany układ Sikorski – Stalin. Porozumienie to ustalało warunki „amnestii” dla wszystkich polskich jeńców i więźniów łagrów, przede wszystkim warunki formowania i organizacji Armii Polskiej na terenie ZSRR i swobodę przemieszczania się wszystkich deportowanych w głąb Rosji sowieckiej. Nagle Polacy z „elementu wrogiego” stali się sprzymierzeńcami, którzy mieli pomóc siłom alianckim w walce ze wspólnym teraz wrogiem – Niemcami hitlerowskimi. Rozpoczęła się wielka wędrówka Polaków na południe ZSRR w nadziei dotarcia do miejsca formowania Wojska Polskiego. Dla wielu rodzin spośród ludności cywilnej wędrówka ta zakończyła się wielką katastrofą. Taki los spotkał mego stryja (o nim i jego rodzinie wspominałem wyżej), któremu po aresztowaniu, jakimś niezwykle zbiegiem okoliczności podczas deportacji na Sybir udało się odnaleźć i dołączyć do swojej rodziny, najprawdopodobniej na stacji kolejowej w Podwołoczyskach, z którą już wspólnie został zesłany do Komi ASRR w okolice Archangielska (Cziornych 206). Tam najpierw zmarł jego kilkumiesięczny syn Józef (1940 r.), następnie w czasie wędrówki stryja w pogoni za wychodzącą z ZSRR do Persji Armią Polską pod wodzą generała Andersa, zmarł jego drugi 5-letni syn Edward (1942 r.) na skutek okropnych warunków higieniczno-sanitarnych, z powodu szalejących chorób i szerzącej się epidemii tyfusu. Stryj razem z pozostałą swoją rodziną za wszelką cenę usiłował dostać

się do portu w Krasnowodsku nad Morzem Kaspijskim, by następnie przejść do Persji i dotrzeć do oddziałów gen. Andersa. Niestety wyrzucono ich z wagonu w Dżambule (w południowym Kazachstanie przy granicy z Kirgizją) i zawieziono do pobliskiego kołchozu, gdzie musieli bardzo ciężko pracować, by utrzymać przy życiu siebie i swoją rodzinę. Po niedługim czasie (po kilku tygodniach) z wycieńczenia zmarł najpierw stryj Józef (luty 1942 r.), następnie jego żona a moja stryjenka Franciszka (kwiecień 1942 r.). Oboje zostali pochowani w Dżambule. Pozostałymi trzema synami zaopiekowała się ich ciocia. Na szczęście udało się im przetrwać te ciężkie obfitujące w niezwykle wydarzenia czasu. Po wojnie wrócili do Polski, a rodzina pomogła w wychowaniu i edukacji nieletnich synów. Szacuje się, że przeciętnie 60% polskich obywateli zmarło z głodu, z szerzących się chorób i epidemii (tyfus, dyzenteria, malaria), z wycieńczenia ciężką pracą w łagrach, obozach, posiołkach i kołchozach na nieprzyjaznych ogromnych połaciach Związku Sowieckiego.

Zmiana miejsca pobytu mojej rodziny. Na początku 1942 roku mój ojciec nie zdecydował się na przemieszczanie się z liczną 10-osobową rodziną na dalekie południowe rejony ZSRR, bo zdawał sobie sprawę (na podstawie dostępnych informacji krążących wśród Polaków i kontaktu ze swoim bratem), że taka długa podróż i nagła zmiana warunków klimatycznych mogłaby być dla nas niebezpieczna i zgubna. Podczas podróży na południe w czasie dłuższego postoju w mieście Troick znajdującego się w południowym rejonie obwodu Czelabińskiego, tuż przy granicy z północnym Kazachstanem, ojciec, po uprzednim upewnieniu się o istnieniu tutaj bardziej znośnych możliwości i warunków przeżycia, zdecydował się pozostać w tym mieście wraz z innymi polskimi rodzinami. Zakwaterowano nas w baraku na obrzeżach miasta, gdzie każda rodzina zamieszkała w jednej z kilkunastu izb znajdujących się po obu stronach korytarza biegnącego przez środek owego baraku. Ojciec i starsze rodzeństwo zostali zatrudnieni w miejscowym *miasokombinacie* (zakładach mięsnych), gdzie produkowano m.in. konserwy mięsne (*swinaja tuszonka*) na potrzeby frontowe. Na początku warunki życiowe były bardzo ciężkie: braki żywnościowe – głodowe racje żywnościowe, okropne warunki higieniczno-sanitarne (brak

mydła), w rezultacie w baraku szerzyła się wszawica i inne plagi będące źródłem rozmaitych chorób. Ciężko zachorował mój najmłodszy kilkuletni brat Zbyszek i nie było już dla niego żadnego ratunku, zmarłego pochowaliśmy na miejscowym cmentarzu w Troicku. W 1943 r. najstarszy brat Janek został powołany do wojska do tworzącej się Dywizji Kościuszkowskiej w Sielcach nad Oką, bo nie zdążył dołączyć się do Wojska Polskiego gen. Andersa. W ten sposób rodzina straciła jednego z jej żywicieli. Janek przeszedł cały szlak bojowy od Sielc aż do Berlina w stopniu podchorążego, a po wojnie zdecydował się pozostać w wojsku i służył w Wojskach Ochrony Pogranicza (WOP), ukończył studia prawnicze i dosłużył się stopnia pułkownika.

Bańki pomogły przeżyć. Mój starszy brat Antoni był uzdolniony pod względem technicznym. Będąc tzw. złotą rączką, biorąc pod uwagę swoje umiejętności i zaistniałe możliwości, doszedł do wniosku, że może wyrabiać blaszane bańki o pojemności kilku litrów. Blachę potrzebną do wyrobu baniek udawało się pozyskać bądź na miejscowym bazarze, albo poprzez usługowych pośredników z niedaleko położonych zakładów mięsnych, do których dostarczano blachę używaną do produkcji konserw. Tosiek najpierw zaprojektował piękne bańki, następnie wycinał z ocynkowanych blaszanych arkuszy odpowiednie części składowe do danej bańki, a potem, przy pomocy lutownicy zlutowywał te części łącząc je ze sobą i tworząc w ten sposób ładne bańki. Posiadając na składzie kilka wyprodukowanych baniek, wkładał je do worka i zanosił na miejscowy bazar na sprzedaż. Bańki brata były towarem atrakcyjnym dla miejscowej ludności w warunkach istniejącego powszechnego niedostatku, więc z ich sprzedażą nie było żadnych trudności - kupowano je błyskawicznie. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży baniek można było kupić na bazarze niektóre produkty żywnościowe potrzebne do przeżycia w tych trudnych warunkach. A braki żywności były na tyle dotkliwe, że na wiosnę, kiedy stopniały śniegi, chodziliśmy po kołchozowych polach kartoflanych i zbieraliśmy z rodzeństwem zmarznięte, ale jeszcze nie zgniłe kartofle, z których po ich starciu i dodaniu mąki mama piekła placki ziemniaczane.

UNRRA i ZPP przychodzą z pomocą. W 1943 r. ambasada polska w Kujbyszewie i jej delegatury wyznaczały

delegatów do niesienia pomocy rodakom rozszanym niemal po całej Rosji sowieckiej. Delegaci z kolei wyznaczali w poszczególnych skupiskach rodaków tzw. mężów zaufania, zadaniem których było dokonywanie spisów Polaków w miejscach ich aktualnego przebywania, utrzymywanie kontaktów z odnośną delegaturą lub bezpośrednio z ambasadą i następnie rozdział oferowanej pomocy. Były to paczki UNRRA (Organizacji Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Rozwoju) dla ludności cywilnej, żywność z Anglii i Ameryki, dary odzieży ofiarowane przez Polonię Amerykańską. Jednym z tych mężów zaufania został mój ojciec Michał, który utrzymywał kontakt ze swoją delegaturą i kilkakrotnie udawał się do pobliskiej delegatury w Kustanaju (północno-zachodni Kazachstan) celem uzyskania pomocy dla Polaków osiadłych w Troicku. Ojciec również pośredniczył w pozyskiwaniu i rozdziale pomocy organizowanej przez ZPP, nie bacząc na jego niezbyt chlubną proveniencję polityczną. Jakkolwiek niewiele dobrego można powiedzieć o Związku Patriotów Polskich (ZPP) pod względem politycznym, organizacji, której kierownictwo zdominowane było przez polskich komunistów na czele z Wandą Wasilewską, to jednak przyczynił się on do niesienia pomocy, której skądinąd Polacy nie mogliby otrzymać. W Troicku ZPP zorganizował polską szkołę i wyposażył ją w pewną ilość niezbędnych do nauki polskich książek i czasopism, a po wojnie pomagał w przygotowaniach do powrotu rodaków do ojczyzny. Tak było w przypadku mojej rodziny i innych polskich rodzin przebywających w Troicku. Jeśli chodzi o edukację w moim osobistym przypadku to przed południem uczęszczałem do szkoły rosyjskiej, gdzie po odbytych lekcjach dostawałem jedną bułkę, po południu zaś chodziłem wraz z innymi polskimi dziećmi do polskiej szkoły, gdzie dostawaliśmy też po jednej bułce. Te dwie bułki umożliwiały mi częściowo zaspokoić codzienny głód i pozwalały mi przetrwać przez ten ciężki okres w moim życiu. W szkole rosyjskiej zaliczyłem czwartą klasę, a za dobre wyniki w nauce otrzymałem dyplom uznania o rosyjskiej nazwie „*paciotnaja gramota*” ze zdjęciem, a jakżeby inaczej, Stalina. Ten dyplom przede wszystkim miał dla mnie znaczenie dokumentu poświadczającego fakt mojego zesłania na Sybir. O

tym dyplomie piszę w czasie przeszłym, nie przywiązywałem do niego większej wagi i straciłem go. A było to tak: parę lat po śmierci Stalina moja starsza siostra podczas porządkowania rodzinnych papierów natrafiła na moją „gramotę” i z wielkim wstrętem i obrzydzeniem spojrzęła na zdjęcie generalissimusa, nie mogła znieść widoku tego piekielnego arcsprawcy bezmiaru nieszczęść milionów Polaków i „gramotę” wyrzuciła do śmieci. Miała rację - jej gniew i wstręt był uzasadniony, ale dokumentu nie udało mi się już odnaleźć. W polskiej szkole, o której wspominałem wyżej i która funkcjonowała w udostępnionych nam pomieszczeniach szkoły rosyjskiej, również przerobiłem program nauczania przewidziany dla klasy czwartej. Na przełomie 1945/1946 r. wielka radość zapanowała w naszym baraku, bo dowiedzieliśmy się, że zostaną podjęte przygotowania do naszej repatriacji.

Repatriacja i dalsza edukacja w Polsce. Na wiosnę 1946 r. po przeszło 6-letniej zsyłce szczęśliwie z całą rodziną (oprócz najmłodszego brata) wróciliśmy do Polski. W ramach repatriacji osiedlono nas na tzw. Ziemiach Odzyskanych na Dolnym Śląsku, bo powrót na ojcowiznę był już niemożliwy. Trudne do oszacowania są szkody, jakie ponieśli deportowani Polacy po powrocie z „niehumanitarnej ziemi”. Można powiedzieć z dużym prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością, że znaczna ich część stała się inwalidami, zwłaszcza ci starsi zmuszeni do ciężkiej pracy. Wielu nabawiło się rozmaitych chorób, które uniemożliwiły im prawidłowe funkcjonowanie w społeczeństwie w okresie powojennym. Dzieci z powodu niedożywienia i głodu doznały wielu zaburzeń w okresie ich rozwoju wzrostu i dojrzewania. Trudne do wyliczenia są także straty materialne, bo przecież każda z deportowanych rodzin czy pojedynczych osób musiała zostawić, często gromadzony przez pokolenia, cały swój dobytek. Podobnie było w przypadku mojej rodziny, która utraciła cały swój majątek, ojcowiznę pozostawioną na Kresach, swoje zdrowie – dotyczy to zwłaszcza moich rodziców, a szczególnie mojej Mamy. Po powrocie do Polski kontynuowałem naukę najpierw w szkole podstawowej, w której „przeskoczyłem” klasę 6, gdyż dyrektor szkoły pan Sikora uznał, że jestem uczniem dostatecznie rozgarniętym, aby od razu przejść do następnej klasy.

Maturę zdałem w liceum ogólnokształcącym w Dzierżoniowie. Studia podjąłem na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie uzyskałem dyplom magistra filologii klasycznej. Następnie po kilkuletniej pracy w szkolnictwie pomaturalnym podjąłem studia na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza (UAM) w Poznaniu, które ukończyłem uzyskaniem dyplomu magistra filologii angielskiej. Na tymże uniwersytecie zostałem zaangażowany w charakterze lektora i wykładowcy języka angielskiego. Tu podjąłem studia doktoranckie i uzyskałem stopień naukowy doktora w zakresie językoznawstwa angielskiego. W 1964 r. zostałem powołany przez Ministra Sprawiedliwości na tłumacza przysięgłego języka angielskiego, rosyjskiego i łacińskiego. Odbyłem roczny staż naukowy na Uniwersytecie Stanowym Nowego Jorku w Stony Brook. Uczestniczyłem w licznych konferencjach i sympozjach naukowych dla wykładowców języka angielskiego w kraju i za granicą, m. in. w Wielkiej Brytanii (Oxford, Londyn, Exeter, New Castle). Moja długoletnia praca w charakterze nauczyciela akademickiego trwała do chwili przejścia na emeryturę. Za długoletnią pracę w szkolnictwie akademickim zostałem odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi i Nagrodą Rektora „za osiągnięcia dydaktyczno-organizacyjne” w roku akademickim 1997/98. Obecnie jestem czynny w pracy związkowej ZNP na UAM, zajmując się organizacją wycieczek krajoznawczych dla seniorów uczelni. Należę do Związku Sybiraków i jestem członkiem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Poznaniu. Moja córka Elżbieta, po odbyciu studiów w Madrycie i Paryżu, założyła i prowadzi w Paryżu, z dużym powodzeniem, własną firmę produktów kosmetycznych.

Dr Józef Wysoczański, obecnie pełni funkcję członka Sądu Koleżeńkiego poznańskiego oddziału TML oraz bierze aktywny udział w życiu i pracach oddziału. W 2014 roku został odznaczony złotą odznaką TML (przyp. red.).



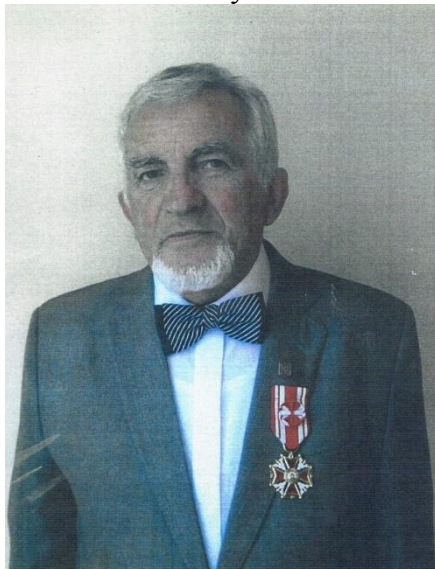
Józef Wysoczański (pierwszy z prawej) wśród członków poznańskiego oddziału TMLiKPW

*Irena Kotowicz
Warszawa*

Edward Słobodziński i jego działalność dla Budzanowa

Na łamach naszego biuletynu chcemy przybliżyć sylwetkę p. Edwarda Słobodzińskiego z Niemczy (woj. dolnośląskie), który to od lat organizuje pomoc dla wsi Budzanów nad Seretem, znajdującej się w środku geograficznego czworoboku zakreślonego przez miejscowości Trembowla-Czortków-Kopczyńce-Buczacz. Za swą działalność został on w maju 2019 wyróżniony prestiżowym prywatnym odznaczeniem- Orderem Świętego Stanisława IV klasy. Poniżej publikujemy wykaz działalności p. Słobodzińskiego. Redakcja gratuluje wyróżnienia i dziękuje za wieloletnia nieustającą pomoc dla naszych rodaków

mieszkających na Podolu. Pierwszy wyjazd Edwarda Słobodzińskiego do Budzanowa był w 1985 roku.



1988 r.- wyjazd z darami dla kościoła rzymskokatolickiego w Budzanowie

1989 r.-dary dla kościoła w Budzanowie oraz dla mieszkańców Budzanowian. Przekazane dla Rady Parafialnej kościoła ornatu

1991 r.- przywóz darów dla przedszkola w Bodzanowie (pralka, zabawki oraz odzież dla dzieci)

1992 r.- przywóz figury Matki Boskiej Różańcowej oraz 9 worków odzieży oraz lekarstwa

1993 r.- przywóz mebli dla księdza Michała Murygina

1994 r.- między 9-15 listopada ostatni chory opuszcza szpital psychiatryczny w kościele. Zaczynamy rozbierać szpital, który istniał w kościele rzymskokatolickim.

1995 r.- od 9-13 września odbyła się wycieczka autokarowa do Budzanowa- 31 osobowa. Zawieźliśmy lekarstwa: medyczne igły, strzykawki medyczne, rękawice lekarskie, wartość około 600 dolarów amerykańskich oraz 25 worków odzieży.

1996 r.- przywiezienie obrazu „Jezus w Ogrójcu” o wymiarach ok 130 cm na 80 cm oraz świece liturgiczne.

1997 r.- 18 sierpnia kościół w Budzanowie został oficjalnie przekazany parafii rzymskokatolickiej, przekazanie naczyń liturgicznych.

1998 r.- przekazanie odzieży, zabawek dla przedszkola, przywóz 25 metrów płótna białego.

1999 r.- przekazanie sprzętu medycznego dla dwóch szpitali w Budzanowie oraz lekarstwa o wartości 900 dolarów amerykańskich, dla dyrektora szpitala, Figura Matki Bożej o wysokości ok 1 m oraz przekazanie figury Matki Bożej o wysokości ok 1 m dla parafii w Budzanowie.

2000 r.- 15-18 maja przekazanie 90 metrów rury PCV o średnicy 110 mm w tym również kolanka, uszczelki do remontu dachu kościoła w Budzanowie.

2001 r.- 12 maja- zorganizował 1 zjazd mieszkańców Budzanowa w miasteczku Niemcza w Polsce. Przekazano również ze zbiórki 220 dolarów amerykańskich, przekazano również ze zbiórki 220 dolarów amerykańskich przekazano również kadzidło srebrne z orłem. Na spotkanie przyjechała delegacja z Budzanowa Pani Bronisława Jawna z synem Michałem oraz Pani Franciszka Myślicka. Na zjazd ten przyjechało 170 osób. Edward Słobodziński został wybrany Prezesem Towarzystwa Przyjaciół Budzanowa.

2001 r.- 5-10 października dary dla kościoła w Budzanowie składa Edward i Danuta Słobodzińska- świece, białe płótno i komunikanty oraz paczki dla dzieci w kościele.

2002 r.- zorganizował z małżonką 2 zjazd Kresowian w Niemczech uczestników było 110 osób. Zebrano kwotę 674 zł oraz 10 dolarów amerykańskich. 28 czerwca -03 lipca wyjazd na wschód w składzie Edward Słobodziński, ks. Stanisław Draguła, Ludwik Skokun, Józef Ziemiński, Czesław Myślicki, Bronisława Pawłowska, Joanna Słobodzińska, Danuta Foruś, Jacek Ciupek. Brałiśmy udział w odpuszczeniu Piotra i Pawła w Trembowli, jak również w dniu następnym msza św. w Budzanowie. Zostały przywiezione również dary do kościoła- kit do okien 100 kg, stojak pod świece paschał- został on wykonany z drewna dębowego a drewno przekazał E. Słobodziński.

2003 r.- 26 czerwiec- 1 lipca zorganizował 8 osobową wycieczkę gdzie zawiązał figurę Pana Jezusa wysokości 1,8 m.

2003 r.- 3-11 października odbyła się wycieczka z darami głównie lekarstwa na sumę 12.000 dolarów amerykańskich. Lekarstwa załatwił Poseł na Sejm Grzegorz Górnik. Była to delegacja 4 osób: D. i E. Słobodzińscy, ks. Stanisław Dragula i Grzegorz Górniak. Przekazaliśmy również siostronom zakonnym niepokalankom w Jałowcu figurę Pana Jezusa o wysokości 1,8 m a dla Budzanowa wizerunek Pana Jezusa który został umieszczony na Krzyżu misyjnym kościele rzymskokatolickim w Budzanowie.

2003 r.- 6-26 czerwca zorganizował przyjazd 35 dzieci z Bodzanowa i okolic do Polski do Bardo.

2004 r.- 4-8 kwietnia był wyjazd do Budzanowa gdzie przekazał ołtarz zabytkowy do Parafii rzymskokatolickiej- podarowały go siostry zakonne klaryski z Kłodzka. Na granicy stał 4 dni.

2004 r.- 27 czerwiec-3 lipca- zorganizował 9-osobową wycieczkę na odpust do Trembowli.

2004 r.- 17-21 lipca, Na zaproszenie prezesa Towarzystwa Przyjaciół Budzanowa E. Słobocińskiego, gościł w jego domu zespół „Junost” z Krymu. Zespół śpiewał w Ogrodzie Botanicznym w Wojsławicach oraz wystąpił w Niemczańskim Ośrodku Kultury.

2005 r.- 17 września zorganizował 3 zjazd Budzanowian. Było ok. 110 osób. Wyjazd do Budzanowa 5-11 listopad- przekazał organy elektroniczne „Yamaha” oraz kolumny głośnikowe o wartości 6.500 zł

2006 r.- 3-5 listopad wyjazd do Budzanowa i zawiezenie świec liturgicznych na ołtarz. Pod dachem cerkwi w Bodzanowie znaleziono kapę z 1836 roku- zabrano ją na remont do Polski.

2007 r.- zabytkowa kapa została odremontowana przez siostry zakonne Mniszki Klaryski z Ząbkowic Śląskich a koszty pokrycia wynosiły 1300 zł które to przekazał Konrad Szymański- euro poseł. Na rewersie kapy jest herb rodu Potockich, którzy sponsorowali budowę kościoła w Budzanowie.

2008 r.- 25-29 czerwca zorganizował wycieczkę 8-osobową do Budzanowa i przekazał do kościoła obraz „Jezu Ufam Tobie” o wysokości 1,7 m

2009 r.- 9 maja zorganizował 4 zjazd Budzanowian- uczestniczyło 95 osób. 21-29 sierpnia zorganizował 8-osobową wycieczkę z

darami do Budzanowa- miasta naszych ojców. Zawieziono dary do przedszkola (pralka Frania, artykuły piśmiennicze) od kościoła zaś gobelin o wymiarach 1m na 1 m oraz pieniądze zebrane z 4 zjazdu w kwocie 580 dolarów amerykańskich.

2010 r.- 8 maja- zorganizował 5 zjazd Budzanowian- uczestniczyło w nim 110 osób.

2010 r.- 15 lipca- gościł 20 osobowy zespół z Białorusi z miejscowości Miory. Zespół śpiewał w Niemczańskim Ośrodku Kultury w Niemczy. Między 30 lipca- 10 sierpnia wyjazd 8 osobowej grupy do Budzanowa i odświętne składanie kwiatów biało-czerwonych pod pomnikiem Marii Konopnickiej w setną rocznicę śmierci. Przekazał dary dla parafian (odzież, konserwy- wartość ok 3000 zł) a także dla kościoła w Budzanowie pieniądze 240 euro.

2011 r.- 6-11 czerwca zorganizował 9-osobową wycieczkę na Kiejdany- 6 festiwal kultury kresowej na Litwie.

2012 r. 9-11 czerwca brał udział w 5-osobowej wycieczce do Budzanowa i przekazał dary do kościoła o wartości ok. 1600 zł. 7-9 września brał udział w 329 rocznicy bitwy pod Wiedniem- Kahlenberg.

2014 r. 7-12 listopada- droga krzyżowa pojechała na Ukrainę. Edward Słobodzinski oraz ks. Stanisław Dragula zawieźli 14 stacji drogi krzyżowej. Uczestniczył również w uroczystej mszy 11 listopada.

2015r. – 5 marca uczestniczył w rocznicy wywózek Polaków na Sybir w Sanoku.

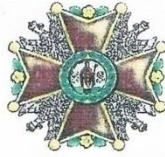
Redakcja „Głosów Podolan”

zachęca czytelników do nadsyłania materiałów do publikacji na naszych łamach- szczególnie zachęcamy do nadsyłania materiałów nigdy niepublikowanych- wspomnień osobistych/ refleksji/ komentarzy/ wspomnień pośmiertnych/ recenzji książek

Materiały najlepiej przysyłać drogą elektroniczną

E-mail: igor_mode@wp.pl

bądź pocztą tradycyjną na adres: Irena Kotowicz
ul. Narbutta 37/11, 02-536 Warszawa



**WIELKA NARODOWA KAPITUŁA
ORDERU ŚWIĘTEGO STANISŁAWA
W POLSCE**

In nomine Sanctissimae, Individuae ac Unius Iritinitatis

*Decyzją Wielkiego Mistrza
Orderu Świętego Stanisława, Biskupa i Męczennika*

Stanisława Iwańczaka

*czyni wiadomym wszystkim,
że zgodnie ze Statutami i Dewizą Orderu*

PRAEMIANO INCITAT

*nakazującymi odwagę czynienia Dobra,
ku chwalebniemu dzieł naśladowaniu,
za poradą Kapituły został odznaczony*

Edward SŁOBODZIŃSKI

**ORDEREM
ŚWIĘTEGO STANISŁAWA**

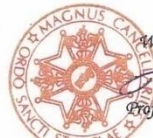
IV klasy

*wraz z wpisem nazwiska Osoby odznaczonej
do rejestru Kawalerów i Dam Orderu
pod pozycją 735*



Wielki Mistrz

*S. Iwańczak
Stanisław Iwańczak*



Wielki Kanclerz Kapituły

Prof. dr hab. Mirosław Nader

Igor Megger
Poznań

Ksiądz Ludwik Peciak z Kołomyi - errata i nowe informacje

W ostatnim numerze „Głosów” ukazał się mój artykuł nt. ks. Ludwika Peciaka z Kołomyi, który to wystawiając akty chrztu ratował Żydów od śmierci. Po ukazaniu się artykułu redakcja otrzymała podziękowanie od pani Mili Sandberg-Mesner z Kanady za to że apel się ukazał. Chciałbym sprostować a raczej to rozszerzyć jedną moją wypowiedź, mianowicie napisałem że ks. Peciak „wystawiał Żydom fałszywe metryki chrztu”. Słowo „fałszywe” było w tym wypadku skrótem myślowym i może być różnie odczytane dlatego rozszerzam moją wypowiedź. Metryka jako dokument nie był fałszywy gdyż wydany był legalnie, na oryginalnym papierze. Natomiast wystawiony był na inną osobę niż wskazywała metryka chrztu. Był to częsty proceder i metoda ratowania Żydów. Z księgi aktu chrztu ksiądz wybierał nazwisko, często zmarłego potem dziecka i pod tym nazwiskiem dany Żyd mógł się ukryć. Instytutowi Yad Vashem zależy by udowodnić to że ks. Peciak wiedział że wystawia metryki na inne osoby- trzeba udowodnić że robił to celowo by Żydów ratować.

Już po napisaniu artykułu dotarłem że w kwietniu 2019 roku na łamach „Kurier Galicyjskiego” ukazał się także artykuł o księdzu autorstwa Macieja Patowskiego „Z kresów na orbitę”. Jest to fragment jego książki o tym samym tytule.

Opisuje w nim on szeroko księdza Peciaka jaki był prywatnie, jak był lubiany oraz o jego swoistych dziwactwach. Kilka akapitów poświęca on jego działalności w czasie II Wojny Światowej- przytaczam je w całości gdyż daje to kilka nowych nazwisk którym to ks. Peciak pomógł.

„Kiedy stało się jasne, co czeka nas pod rządami Niemców, Julek (ks. Peciak- przyp. red) zmienił zapisy w księgach parafialnych tak, by mój ojczym Miccio, jego bracia Oskar i Filip oraz siostra Joanna byli Żydami tylko w połowie. Ich metryki urodzenia zaświadczały teraz, że ich nieżyjący już w tym czasie ojciec był czystym Aryjczykiem. W rzeczywistości obydwójce

rodzice byli głęboko wierzącymi ortodoksyjnymi Żydami, nieporównanie bliżej związanymi z wiarą możeszową aniżeli moi dziadkowie. Ponieważ ich matka jeszcze żyła, ksiądz Julek nie mógł zrobić z nich pełnokrwistych Aryjczyków. I tak już trudno było zapewnić sobie milczenie sąsiadów. Zbyt wielu z nich mogło jeszcze pamiętać ojca.

Pomagał później także innym członkom rodziny Gotfrydów. Po sfalszowaniu metryki urodzenia, ksiądz wyprawił kuzynkę pana Anatola, Hedgę, do Warszawy, gdzie przeżyła okupację.

Jego manufaktura produkująca fałszywe akty urodzenia kwitła przez dłuższy czas. To był niezwykle duet: polski ksiądz i Niemiec z kolonii Felizienthal koło Stryja. Albin Tyll mieszkał w Kołomyi i pracował w urzędzie miasta. Dzięki temu miał dostęp do archiwum i dokumentów Urzędu Stanu Cywilnego. Wiedział od bliskich znajomych, że ksiądz Peciak pomaga Żydom, wystawiając sfalszowane dokumenty urodzenia. Spotkał się więc z księdzem i zaproponował współpracę. Miało to wyglądać tak, że Tyll wynosił po kryjomu papiery z urzędu miasta, na tych podstawach ksiądz Peciak „nowelizował” je tak, że posiadacze byli Aryjczykami. Pisze o tym Mila Sandberg, współpracująca z Kanadyjską Fundacją Dziedzictwa Polsko-Żydowskiego w Montrealu, która dzięki aryjskim papierom – made in manufaktura księdza Peciaka – przetrwała niemiecką okupację.

W 1945 roku Albin Tyll z częścią rodziny Sandbergów uciekł do Rumunii, tam się ożenił i wyemigrował potem do Ameryki Południowej. W roku 1963 Instytut Yad Vashem w Jerozolimie nadał mu tytuł „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Ksiądz Peciak niczego nie dostał, bo nie miał się kto o jego dobre imię upomnieć. Powinien mieć „swoją” ulicę w Kołomyi, ale dzisiejsi Ukraińcy niechętni są czczeniu zasłużonych Polaków (przejdzie im to, gdy się już na dobrze oswoją z wolnością i niepodległą ojczyzną), albo przynajmniej pamiątkową tablicę wewnątrz obecnego parafialnego kościoła, który przed wojną był garnizonowym.

Gdy Niemcy wprowadzili obowiązkowe posiadanie kenkarty, fałszowanie dokumentów stało się bardzo trudne i jeszcze bardziej ryzykowne. Peciakowe świadectwa urodzenia mieli między innymi Iser i Toni Reisman. Wpadli w ręce SS i

zostali zamordowani. Podpis księdza Peciaka na ich dokumentach prawdopodobnie podniósł u Niemców alarmową czerwoną flagę. Wkrótce ukraińscy policjanci aresztowali księdza Peciaka i oddali Niemcom do dyspozycji. Za swoją manufakturę został zesłany do Majdanka, gdzie umarł lub został zamordowany. (Różne źródła różnie piszą¹)”.

Redakcja „Głosów Podolan” ponawia apel i także zwraca się do naszych krajan o pomoc, prosimy o zamieszczenie w miarę możliwości tego apelu w biuletynach oddziałowych czy na swoich stronach internetowych, szczególnie prosimy środowiska kołomyjan o sięgnięcie do swych pamięci. Może ktoś pamięta księdza Peciaka z Kołomyi, Lwowa czy obozu na Majdanku. Może ktoś zna lub znał w/w nazwiska oraz Sinkiewiczza Kazimierza z Kołomyi.

Sprawę prowadzi p. Marek Kozubal dziennikarz „Rzeczpospolitej” Tel. 22 463 05 31 lub na adres mejlowy m.kozubal@rp.pl

*Robert Szczerkowski
Wrocław*

Płk Przemysław Nakoniecznikoff - niepublikowane fotografie

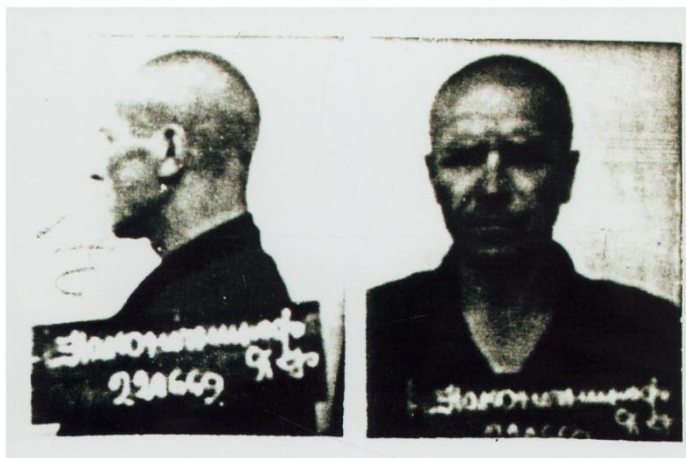
W poprzednim numerze „Głosów” opublikowaliśmy obszerny życiorys płk. Przemysława Nakoniecznikoffa - oficera KOP, weterana walk we wrześniu 1939 roku, cichociemnego, dowódcę Krakowskiego Okręgu AK i więźnia sybiru. W numerze bieżącym zamieszczamy także artykuł o nadaniu jego imienia Placówce Straży Granicznej w Kielcach.

¹ Ks. Peciak zginął w obozie we Flossenburgu lub w drodze do niego 16 kwietnia 1943 - gdzie był przewożony z Majdanka - przyp. red.

Na następnych stronach prezentujemy oryginalne, niepublikowane wcześniej zdjęcia pułkownika. Zdjęcia pochodzą ze zbiorów p. Roberta Szczerkowskiego.



Płk Nakoniecznikoff w otoczeniu współpracowników - 1942 rok



Płk Nakoniecznikoff – akta karno-śledcze, 1945 rok



Przemysław Nakoniecznikoff na wycieczce w Zakopanem -1957 r.



Grób pułkownika w Lubaczowie - 2015 rok

Igor Megger
Poznań

Ś.P. Ojciec Reginald Wiśniowski - 1920-2018

O. Reginald Wiśniowski OP był „żywą historią” polskich dominikanów. Pochodził z podolskiego Czortkowa, znał męczenników czortkowskich. Był także ostatnim polskim dominikaninem, który znał osobiście bł. Michała Czartoryskiego, który był jego mistrzem studentatu, oraz odnowiciela polskich dominikanów, sługę Bożego o. Jacka Woronieckiego. W chwili śmierci był najstarszym polskim dominikaninem, oraz ostatnim wyświęconym przed II wojną światową.

O. Reginald (Stanisław) Wiśniowski urodził się 12 listopada 1920 roku w Czortkowie, w województwie Tarnopolskim. Miał dziewięcioro rodzeństwa, z którego cztery siostry zostały zakonnice. Do zakonu dominikańskiego wstąpił w Krakowie 29 lipca 1939, otrzymując przy obłóczynach imię Reginald. Pierwszą profesję złożył 8 września 1940, a wieczystą – trzy lata później. W Krakowie odbył w latach 1940-1946 studia filozoficzno-teologiczne, uwieńczone 21 czerwca 1946 zakonnym tytułem naukowym lektora teologii.

Święcenia kapłańskie przyjął 17 czerwca 1945 z rąk biskupa Michała Godlewskiego. W latach 1950-1957 był magistrem kleryków w Jarosławiu i Krakowie. Wykładał też w Kolegium Filozoficzno-Teologicznym liturgikę, homiletykę, kosmologię, socjologię, historię filozofii, logikę, teologię moralną praktyczną i archeologię. Klasztorem jego najdłuższego pobytu był Kraków, prócz tego przebywał także w Jarosławiu, Poznaniu i Warszawie.

Wraz z przemianami politycznymi na terenie ZSRR powrócił na Ukrainę. W 1987 roku trafił do Murafy w obwodzie winnickim a od 1989 przebywał w swoim rodzinnym Czortkowie. Czortkowski kościół zamknięty w 1946 roku był wtedy dość mocno zniszczony i nieczynny. Staraniem Ojca Reginalda kościół

został wyremontowany i w 1995 roku ponownie konsekrowany- katolikom służy do dziś. Na kresach służył także jako kaznodzieja rekolekcyjny w Borszczowie, Kamieńcu Podolskim, Kopyczyńcach i Zaleszczykach. Ojciec Reginald od 1970 roku organizował także, odbywające się do dzisiaj w pierwszą niedzielę września, pielgrzymki do cudownego obrazu Matki Boskiej z Czortkowa, znajdującego się obecnie w dominikańskim kościele na ul. Freta w Warszawie. Jeszcze jednym ważnym dokonaniem Ojca Reginalda była ekshumacja i ponowny pogrzeb ośmiu dominikanów zamordowanych w 1941 roku w Czortkowie przez NKWD, obecnie toczy się ich proces beatyfikacyjny.

Ojciec Reginald zmarł 4 lutego 2018 r. w Krakowie w wieku 97 lat. W jego pogrzebie na krakowskim Cmentarzu Rakowickim brali licznie kresowianie w tym czortkowiec z członkiem Zarządu Głównego TML dr. Januszem Furmaniukiem na czele.



Jeden z ostatnich zjazdów w których brał udział O. Reginald (w środku)- wrzesień 2013. O. Reginald stoi w otoczeniu czortkowiec

*Igor Megger
Poznań*

Ś.P. Bolesław Herman 1925-2020



Z głębokim żalem zawiadamiamy że dotarła do nas smutna informacja o śmierci 3 maja 2020 r. Pana Bolesława Hermana - kresowianina z Podola, zasłużonego mieszkańca Kluczborka.

Bolesław Herman urodził się w 1925 roku. Dzieciństwo spędził w Czortkowie. Ojciec jego - Piotr (który był kierownikiem młyna) i starszy brat Tadeusz za udział w Powstaniu Czortkowskim zostali skazani na kary pozbawienia wolności w obozie pracy

na terenie ZSRR, gdzie prawdopodobnie zostali zamordowani w Charkowskim więzieniu 24.10.1941 roku - na tydzień przed wkroczeniem wojsk niemieckich. W 1995 prokuratura tarnopolska pośmiertnie zrehabilitowała Piotra Hermana, o losach rehabilitacji Tadeusza brak informacji².

Bolesław Hermann wstąpił do Ludowego Wojska Polskiego i wraz z nim brał udział w walkach o wyzwolenie naszego kraju do Bugu do Łaby. Uczestnik walk o wyzwolenie Warszawy i zdobycie Berlina. Za walki za wolność naszego kraju wielokrotnie odznaczony m.in. „Srebrny Medal Zasłużonym Na Polu Chwały” w 1945 roku, czy medalami „Za Odrę –Nysę - Bałtyk” „Za Warszawę”, „Za udział w walkach o Berlin”.

Po zdemobilizowaniu w lutym 1947 r. osiadł w Kluczborku i już w kwietniu otworzył zakład fotograficzny, który prowadził przez 60 lat - 60 lat pracy w jednym miejscu i bez zażaleń - tym samym wrósł na stałe w pejzaż Kluczborka.

² Za udział w „Powstaniu Czortkowskim” skazano 24 osoby na karę śmierci i rozstrzelano. Dalszych 55 często młodych skazano na wieloletnie więzienie i obozy pracy - przyp. red.

Bolesław Herman był zasłużonym działaczem rzemiosła, długoletnim członkiem Cechu Rzemiosł Różnych. Dyplom mistrzowski uzyskał w listopadzie 1965 roku. Wyszkolił ponad dwudziestu uczniów na czeladników i siedmiu czeladników na mistrzów. W latach 1965-1968 był członkiem Sądu Cechowego, a od czerwca 1968 do maja 1980 był członkiem Zarządu Cechu i jego podstarszym. W tym samym okresie pełnił funkcję v-ce przewodniczącego komisji egzaminacyjnej fotografów przy Izbie Rzemieślniczej w Opolu. Bardzo aktywny społecznie przy budowie Domu Rzemiosła w latach 1968-1971.



B. Herman odslania tablicę pamiątkową z okazji 100-lecia Niepodległości w Kluczborku - 2018 rok

Pomimo sędziwego wieku był zaangażowany w działalność Związku Kombatanów, akcjach charytatywnych na terenie miasta itd.

Za prace społeczną i zawodową uhonorowany został Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski w 1984 roku. Poza tym należy wymienić:

Oznakę Honorową „Zasłużonemu Opolszczyźnie” -1983 r.

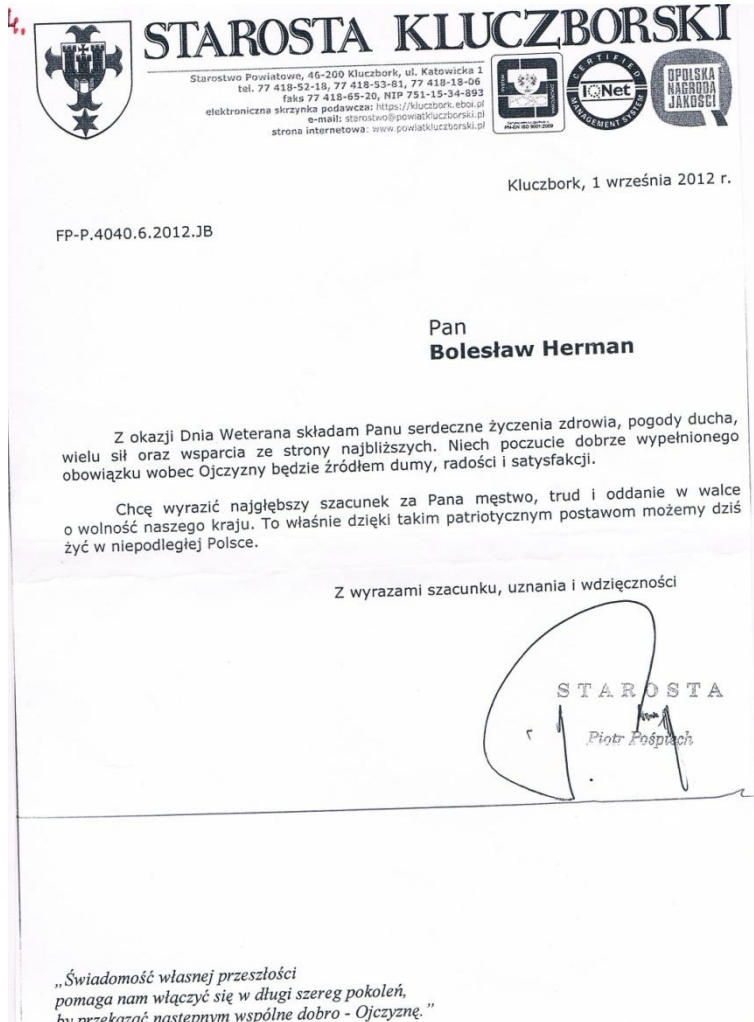
„Honorową Oznakę Rzemiosła” - 1968 r.

„Srebrny medal Jana Kilińskiego” - najwyższe odznaczenie
rzemieślnicze

Tytuł „Zasłużony dla Kluczborka”- 2006

Patent „Weteran Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny”

A także szereg medali kombatanckich wymienionych na początku
artykułu.



Artykuł powstał na bazie materiałów nadesłanych do redakcji
przez wdowę po Ś.P. B. Hermanie.

Hanna Dobias- Telesińska
Poznań

Ś.P. Danuta Maciejewska 1930-2020



Z żalem informujemy, że 3 kwietnia 2020 r. w wieku 90 lat zmarła Pani Danuta Maciejewska. Kresowianka z Podola, członkini Poznańskiego Oddziału od 1998 r. Przez kilka lat pełniła funkcję przewodniczącej Komisji Rewizyjnej poznańskiego Oddziału Towarzystwa. Była wieloletnim prenumeratorem „Głosów Podolan”.

Danuta Maciejewska urodziła się 26 listopada 1930 r. w Chołojewie k. Tarnopola. W wieku niespełna dziesięciu lat wraz z matką i rodzeństwem 13 kwietnia 1940 roku została wywieziona do kołchozu Kantorka k. Pawłodaru nad Irtyszem w północno wschodnim Kazachstanie.

Poniżej przedstawiamy fragmenty wspomnień Zofii Pełkowej, matki Danuty Maciejewskiej, opublikowane w książce Teofila Mikulskiego „Fotografia zbiorowa Polaków deportowanych do okręgu pawłodarskiego”, wydanej przez Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego w 1995 r.

SYBERYJSKIE ZESŁANIE- Zofia Pełkowa

„...Przyszli o 12 w nocy 13 kwietnia 1940 r. Zbudził nas łomot w drzwi, walili kolbami. Zerwałam się, przerażona otwieram. Stoi dwu drabów, reszta z tyłu, twarze bandytów, nie z Chołojowa. Jest z nimi znajomy, sprzedawca ze sklepu spożywczego, nauczyciel-emeryt, Ukrainiec. Często tam kupowałam, znał mnie, mówi: „Niech się pani zbiera, musicie jechać”. Zbudziłam dzieci, kazałam im się myć i ubierać. Najmłodszą sama ubrałam. Pościel spakowałam do sienników, a kuferka nie pozwolili zabrać, bo za duży, nie zmieści się. Najlepsze rzeczy zostały w tym kufrze. Miałam jeszcze jeden, mniejszy, mąż z nim wędrował do szkoły jako dziecko.

Spakowałam jakieś najpotrzebniejsze rzeczy, a właściwie co w rękę wpadło. Trochę wzięłam naczyń, ale wszystko oglądali, co zabieramy... Załadowali nas na furę... Było już rano. Po drodze stali znajomi ludzie. Kobiety płakały, niektóre podawały jeszcze coś na drogę do jedzenia dla dzieci. Patrząc na te wszystkie płaczące kobiety, znajome z Koła Gospodyń, mówiłam: „Ja tu wrócę!”...

Nikt nie powiedział, że to jest karne przeniesienie, że jesteście wywłaszczeni, skazani. Przeciwnie, mówiono: Jedziesz do męża. Dzieci były bardzo przejęte, wielokrotnie obracały się, przypatrywały sprzętowi i domowi, jakby chciały zachować go w pamięci. Najbardziej Danusia, Powtarzała przy tym: „Ja to muszę zapamiętać”. Jeszcze z najodleglejszego punktu patrzyły na dom, aż zniknął za horyzontem...

Na dworcu w Radziechowie, na bocznym torze, stał długi szereg wagonów towarowych. Zwożono ludzi z całego powiatu. Każdy wagon miał po dwu stronach specjalnie zrobione półki, zwane przez naszych dozorców narami. Do każdego wagonu pakowano po 40 osób, kobiet, dzieci, starców, młodych chłopców. Mężczyzn w sile wieku nie było. W wagonie każdy miał swoje miejsce na pryczy, a pod nią składali ludzie swój skromny dobytek. Obok nas na półce leżała kobieta, kilka dni po porodzie, z malutkim niemowlakiem i dwójką starszych dzieci.

Wagony były zadrutowane i plombowane. Jechali z nami uzbrowieni strażnicy. Z jedzeniem było na razie nieźle, każdy coś miał na drogę z domu. Codziennie wypuszczano jedną osobę z dwoma wiadrami po wodę i zupę na 40 osób. Mało było picia, a o myciu się cały czas mowy nie było. W takim stanie też jechało przez miesiąc nie myte niemowlę. Matka darła jakieś szmaty, jakie tylko mogła, wycierała dziecko, a szmaty wyrzucała. Dziecko umarło po miesiącu pobytu w Kazachstanie... Najgorsza sprawa była z ubikacją. W ogóle nie było czegoś podobnego w wagonie. Znaleźli ludzie najśłabszą deskę w podłodze i wydarli dziurę. Gdy jeden tam szedł, inny trzymał koc, bo jechali przecież ludzie różnej płci i wieku.

Zwieziono nas na plac targowy, który o tej porze był pusty. Tam, bez dachu nad głową, na ziemi, siedziałyśmy dwie noce.

Tubylcy świętowali 1 Maja, a nasze dzieci trzęsły się z zimna, bo noce o tej porze roku są tam jeszcze zimne. Nikt się nami nie interesował. Dopiero 2 maja zaczęły podjeżdżać ciężarówki i rozwozić ludzi w step. Nas zawieziono do odległej o 100 km wsi Kantorka... Wyrzucono nas na placu we wsi. Samochody odjechały, a nas zostawiono – róbcie, co chcecie. Trzeba było szukać dachu nad głową. Kto nas weźmie? Jedzenia było bardzo mało. Chleba dostawało się pół kilograma na pracującego i 200 g na dziecko. Chleb był tak ciężki, że były to małe kawałeczki. Na stepie rosła półdzika roślina jadalna przypominająca cebulę. Zrobiłam Dobruni woreczek ze sznureczkiem na szyję lub na ramię jako plecaczek i z tym szła na step zbierać tę cebulę. Dalszym zajęciem Dobruni było umycie tej cebuli, pokrojenie i gotowanie w czugunie. Danusia latem poszła do brygady na sianokosy. Ponieważ była jeszcze mała, nie miała siły do innej pracy. Posadzili ją na grabie konne, do których zaprzężony był wielbłąd. Grabiła suszące się siano. Była to dla niej ciężka praca, bo musiała ręcznie podnosić grabie. Bardzo skarżyła się na bolące ręce i plecy. Mówiła, że te grabie chyba jej powyrywają ręce. Pracowała jednak, bo dostawała trochę więcej jedzenia. Nawet jako dziecko, i to przepracowane, nie wszystko zjadała. Cieszyła się bardzo, gdy mogła nam odstąpić trochę mleka, zupy czy chleba. Szliśmy wówczas z Dobrunią i w banieczce coś przynosiłyśmy do domu, bo Danusia nocowała w brygadzie. Z wodą było bardzo ciężko. Trzeba było po nią iść do rzeki albo do studni, jeżeli nie była zamrznięta. Studnie nie były ocembrowane. Była to po prostu dziura w ziemi, dlatego bałam się posyłać dzieci po wodę. Chodziłam więc sama lub z dziewczynkami, gdy potrzeba było więcej wody. Zima tam, w Kazachstanie, trwa długo. Drogi są zasypane. Podczas burz mąki lub należnego chleba nie dowożą i nie wydają. Z miejscowego magazynu nie można było wziąć zboża. Zaczęliśmy głodować.

Powiedziano mi, że gdzieś w stepie na polu zostały ziemniaki. Wzięłam sanki, pojechałam na pole, ale jak w tych warunkach znaleźć coś pod grubą warstwą śniegu? Zapadałam się po kolana. Doszłam do jakichś zabudowań. Od tyłu nie było

wejścia ani okien. Zobaczyłam, że na śniegu leży coś ciemnego. Podeszłam – a to dwa zamrożone barany. Nie zastanawiałam się, położyłam jednego na sanki, przywiązałam sznurkiem i pędem do domu. Zanim doszłam, zrobił się wieczór, a moje dziewczynki cały dzień były głodne. Wychuchały sobie w okienku dziurkę w lodzie i krzyczą – słyszę już z daleka: „Mama idzie i coś wiezie, będziemy jadły!”

W Pawłodarze była polska szkoła, więc zapisałam do niej Dobrochnę. Danusia nie chciała iść do szkoły, bo musiała pracować. Nowy dyrektor „Pieduczyliszcza” zainteresował się tym. Jak to, taka dziewczynka do szkoły nie uczęszcza? Gdy dowiedział się o przyczynie, tak zorganizował jej pracę, iż nazywało się, że Danka pracuje a naprawdę chodziła do szkoły. Już w Pawłodarze dowiedziałam się, że w przytułku dla starców mieszka pani Januszowa, wywieziona wraz z nami z Chołojowa. Odwiedziłam ją. Był to barak zastawiony pryzami, zgodnie z nazwą „przytułek”. Pani Januszowa była bardzo wyczerpana, widać było na niej cierpienie, była bardzo biedną starszą kobietą. Nic nie zostało w niej z dawnej osoby. Czułam, że widzimy się po raz ostatni. Nie wiedziałam co mówić, jak ją pocieszyć. Jej mąż, podobnie jak mój, także się nie odnalazł. Wkrótce pani Januszowa zmarła.

Zbliżał się dzień 7 listopada – rocznica rewolucji. Od czasu zniesienia oblężenia Leningradu przez wojska niemieckie, dyrektorowi szkoły przydzielono do pomocy komendantkę, która zajmowała się sprawami administracyjnymi. Na rocznicę rewolucji poleciła mi przystroić świetlicę. Przyniosłam świerkowych gałęzi, udekorowałam nimi portrety, trochę gałęzi rozwiesiłam na ścianach, umyłam podłogę i poszłam po komendantkę, aby oceniła pracę. Wpadła w zachwyty: Sonia, kak ty eto choroszo zdiełała! Dyrektor – Rosjanin, w przeciwieństwie do swego poprzednika Kazacha – często rozmawiał ze mną, pytał jak jest w szkołach w Polsce. Po akademii rocznicowej był wieczorek taneczny. Danka stała za drzwiami. Przyszła do mnie z płaczem pytając, czy kiedyś w życiu będzie miała takie pantofelki, żeby mogła w nich tańczyć? Młodzież w internacie często wieczorami grała i śpiewała. Byli weseli, chociaż na pewno głodni. Nam natomiast dni wlokły się straszliwie i ciężko było

przeżyć każdy dzień. Ten ostatni okres w Kazachstanie oceniam jako najlepszy. Danusia twierdzi, że był najgorszy i gdyby trwał dłużej, to chyba by nie przeżyła...

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Oszczędzałyśmy trochę, aby na Wigilię móc zrobić barszcz i pierogi. Świąt kościelnych w Kazachstanie nie obchodzono, dzieci miały w szkole naukę. Święta prawosławne i grekokatolickie wypadają zresztą dwa tygodnie po naszych. Nikt tam jednak o świętach nie wspominał, choć może po cichu coś urządził...

Pewnego dnia idę przez miasto i widzę, że nieznani Polacy padają sobie w objęcia. Co się stało? Jedziemy do Polski – odpowiadają. Ruscy zaczynają się martwić, kto będzie pracować. Nasz dyrektor też się martwił, bo pracowały u niego cztery Polki. Komendantka poprosiła mnie na koniec, abym wyczyściła szkolny ustęp, obiecując za to 50 rubli. Co było robić? Wzięłam siekierę i pół dnia rąbałam, bo to była latryna, bez kanalizacji. Dostałam te 50 rubli, ale już nie pamiętam co za nie kupiłam...

Pozostawiłam w Pawłodarze łóżko i wanienkę, do kuferka zabrałam garnki, miski i resztę naczyń, które mi jeszcze pozostały. Z ubrania miałyśmy już tylko to, co na sobie. Rosyjskie sprzątaczkі mówiły do mnie: Sonia, zostań tu. Tam u was będzie teraz to samo co tutaj! ...Wyjechaliśmy z Pawłodaru 19 lutego 1946 r., po sześciu latach zsyłki, w otwartych wagonach, na drogę dostaliśmy trochę chleba, ale tego nie mogło starczyć na całą drogę. Nie mieliśmy pojęcia, jak długo będzie trwała nasza podróż. Przed odjazdem dostaliśmy po 3 m materiału, bardzo lichutkiego... Z tego materiału nic nie uszyłam, zabrałam go po prostu ze sobą...

Jechaliśmy już trzy dni bez żadnego jedzenia. Widziałam, że niektórzy jeszcze coś sprzedawali na stacjach. Postoje były w nieprzewidzianych miejscach a odjazdy bez żadnego uprzedzenia. Jednym słowem była to jazda poza wszystkimi planami, po zniszczonych torach, niekiedy cofaliśmy się z już przejechanego odcinka. Dojechaliśmy do Orła. Pociąg stanął, jak zawsze nie wiadomo, na jak długo. Danka zaryzykowała i wyskoczyła na rynek z materiałem, jaki nam przydzielono na drogę. Do rynku było najmniej kilometr drogi w jedną stronę. W obie strony

biegła. Wpadła na rynek, kogoś uprosiła żeby od niej odkupił ten materiał. Dostała za niego duży bochen białego pszennego chleba. Do tego chleba baba na rynku dodała jej jeszcze litr białej suchej fasoli. Całą powrotną drogę Danką pędziła wpatrzona w stojący w oddali pociąg z niemym pytaniem – ruszy, czy nie ruszy? Zdążyła! Wpadła wpółżywa, mokra jak mysz. Zaraz na piecyku postawiłam garnek i zaczęłam gotować fasolę. Jeszcze nie w pełni ugotowaną dzieci wyciągnęły i zjadły. O tej fasoli i chlebie dojechaliśmy do Polski. A Dobrochna w czasie drogi pytała mnie: Mamo, jak dojedziemy do Polski to ugotujesz cały „czugun” jedzenia? Na szczęście nigdy już tego nie trzeba było robić.

Wagony, jak wspomniałam, były otwarte, pociąg ruszał niespodzianie, więc nie obyło się bez denerwujących przygód. Kiedyś Dobrochna stała blisko drzwi, pociąg szarpnął, ruszył i dziecko wypadło. Danką bez namysłu dała susa za nią, wrzuciła z powrotem do wagonu jak worek i jeszcze sama zdążyła wskoczyć. Ciężka była ta droga przez zrujnowany kraj i trwała nieskończenie długo. Jedynie jadąc przez Ural podziwialiśmy piękne widoki, drogi biegnące serpentynami, tory kolejowe zawieszane nad przepaściami, a na nich wijący się wąż wagonów. Niezapomniany widok! Byliśmy tacy szczęśliwi, że wracamy do Polski. Wszyscy powtarzali, że gdy przekroczymy granicę, to będziemy całowali polską ziemię. Przynieśliśmy sobie, że już nigdy i nigdzie z Polski nie wyjedziemy! Dojechaliśmy do Brześcia n. Bugiem. Na stacji było dużo ludzi. Do nas podszedł jakiś Polak i podając trzy pieczone ziemniaki powiedział: Wy jedzcie do Polski, a my w tej nędzy zostajemy...

W czasie przeladowywania nas na inne tory i do innych wagonów, Danką pobiegła z koleżankami i kolegami zwiedzać Brześć. Odnalazła jakiś kościół, a w nim wielu Polaków. Wyjechaliśmy z Brześcia nocą i nie wiedzieliśmy, kiedy minęliśmy granicę, Dojechaliśmy do jakiegoś miasta. Pociąg zatrzymał się w morzu gruzów – nikt nie wiedział, gdzie. Byliśmy przerażeni, szczególnie, że nikt z nas nie widział działań wojennych, nikt nie widział ani jednego samolotu, nie słyszał ani jednego wystrzału, ani jednej spadającej bomby. Obok torów szli jacyś robotnicy. Zapytaliśmy, co to za miasto. W odpowiedzi

usłyszeliśmy, że to Warszawa. Myślałam, że żartują z nas, ale inni mówili to samo. Nie mogliśmy uwierzyć. Pociąg stał między zwalami gruzu dość długo. Niektórzy wysiedli i krzyczeli, że są głodni. Przyszli jacyś panowie z koszami pełnymi chleba, pokrojonymi na ćwierćkilogramowe kawałki. Każdy dostał kawałek. Dzieci jak chwyciły ten chleb, to dwoma rękoma trzymały tak długo przy buziach, aż go zjadły. Dowieziono nas do Kutna. Ktoś wysiadł i zobaczył pociąg z napisem „Berlin”. Zaczęliśmy się przesiadać. Ja też wysiadłam, ale pociąg ruszył. Zaczęłam biec, już chwyciłam się pociągu, ale jakoś obsunęłam się i tak zostałam na peronie leżąc. Z otwartego wagonu dzieci wychylone krzyczały, że mnie „zabiło”, ale wstałam i dzieci zobaczyły, że żyję. Na peronie ze mną zostało jeszcze kilka osób. Zobaczyli to kolejarze i po chwili usłyszeliśmy przez megafon, że wszyscy wracający ze Związku Radzieckiego, którzy nie zdążyli na tamten pociąg, mogą bez biletu wsiąść do najbliższego pociągu zdążającego do Poznania. Tamten pociąg zatrzymał się dopiero w Poznaniu. Wsiadliśmy za chwilę do osobowego, który zatrzymywał się na każdej stacji, więc do Poznania dojechaliliśmy późnym wieczorem. Zapytałam, gdzie są ci, którzy przyjechali z Rosji. Odpowiedziano mi, że na szóstym peronie. I rzeczywiście: na szóstym peronie na naszym pamiątkowym kuferku siedziała Danka i prawie płakała, tak zmarzła. Zapytałam, gdzie Dobrunia, a ona, że kolejarze wszystkie dzieci zabrali do swego hotelu na nocleg i tylko ona została. Przesiedziałyśmy całą noc, a była ona zimna, marcowa. Rano kolejarze przywieźli nam jakąś zupę ze swojej stołówki, dostaliśmy też jakiś chleb. Od tego dnia już ani razu nie byliśmy głodni!”

Hanna Dobias-Telesińska

Igor Megger

Poznań

Dr Iwo Werschler –Wspomnienie w 5 rocznicę śmierci

O Iwo Werschlerze można powiedzieć: dr Nauk Humanistycznych, historyk, wychowawca młodzieży znawca i

miłośnik Kresów Wschodnich, pasjonat podróży i górskich wędrówek.



25 maja 2020 roku minęło 5 lat od śmierci zasłużonego członka Poznańskiego Oddziału TML dr. Iwo Werschlera, historyka, badacza historii Kresów Południowo-Wschodnich, człowieka powszechnie bardzo szanowanego, o wielkiej wiedzy, pokorze, skromności i dobroci serca.

Iwo Werschler urodził się 29 lipca 1932 r. w Podhajcach, miasteczku powiatowym w województwie tarnopolskim. Rodzice Józef i Zofia z Dobrzańskich byli nauczycielami szkół powszechnych. Ojciec urodził się w Brzeżanach, matka w Przemyślanach. Kilkoro krewnych, m. in. babcia Antonina Werschlerowa, mieszkało we Lwowie. Z okazji świąt i wakacji Iwo Werschler często bywał we Lwowie. Wakacje letnie 1936-1938 rodzina spędzała w Karpatach, koło Delatyna.

Iwo Werschler do szkół powszechnych uczęszczał w Podhajcach (1939-1943), we Lwowie (1944) i w Grobli pow. Bochnia (1945). Podczas okupacji sowieckiej, w szkole zajęcia prowadzone były w języku ukraińskim, podczas niemieckiej po polsku. Do gimnazjum i liceum uczęszczał w Bochni oraz w Rybniku, gdzie maturę zdał w 1951 r. Studia na kierunku Historia na UAM w Poznaniu ukończył w 1955 roku pracą magisterską „Twórczość naukowa Karola Szajnochy”. Jego kolegą z roku był wybitny historyk Lech Trzeciakowski. Lata 1951-1955, w których pan Iwo studiował, były przełomowe dla studiów Wyższych z Historii w Poznaniu. W 1950 roku utworzono zespół Katedr Historycznych, w którego skład wchodziło sześć katedr. W 1952 roku przekształcono je w trzy Katedry podzielone na zakłady. Były to Katedry: „Historii Polski” – prof. Gerard Labuda, „Historii Powszechnej”- prof. Kazimierz Tymieniecki oraz „Historii Narodów ZSRR”- prof. Henryk Łowmiański – stan ten trwał do 1958 roku. W tym czasie na wydziale Iwo Werschler spotkał się jako student z wieloma wybitnymi polskimi historykami, którzy byli jego wykładowcami. Prócz wyżej

wymienionych byli to np. Janusz Pajewski czy Witold Jakóbczyk. Jako nawiązanie do naszego Towarzystwa warto przypomnieć, że w latach 50. prorektorem UAM w Poznaniu był pierwszy prezes poznańskiego Oddziału prof. matematyki Andrzej Alexiewicz.



Śp. Iwo Werschler w rozmowie z autorem artykułu na otwarciu wystawy nt. Rzezi Wołyńskiej na XVI Dniach Lwowa w 2013 roku

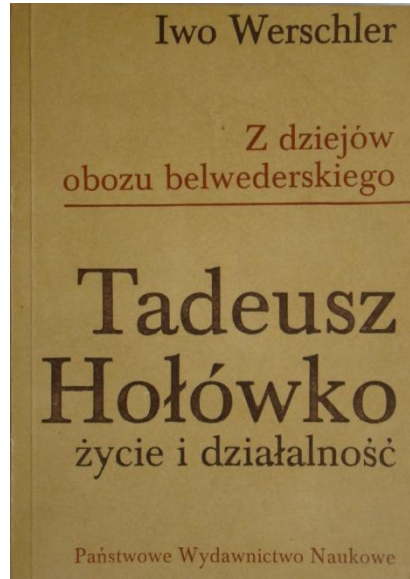
W 1979 roku nadano Iwo Werschlerowi tytuł Doktora Nauk Historycznych, który uzyskał broniąc pracę „Działalność społeczno-polityczna Tadeusza Hołówki (1889-1932)”. Promotorem pracy był prof. Antoni Czubiński, a recenzentami profesorowie Tadeusz Jędruszczak i Janusz Pajewski. Praca ta została wydana drukiem w 1984 roku pod nazwą „Tadeusz Hołówko – życie i działalność” i nagrodzona została przez tygodnik „Polityka”. W „Kresowej Atlantydzie” prof. Stanisław Sławomir Nicieja opisując Hołówkę wspomina dzieło Iwo Werschlera i wystawia mu bardzo pozytywną opinię. W tym samym roku tytuł Doktora Nauk Historycznych otrzymuje także Tomasz Naganowski – były prezes poznańskiego Oddziału pracą n. t. zbiorów Biblioteki Kórnickiej.

Drugą książką napisaną przez pana Iwo była wydana w 2008 roku pozycja „Z Podhajec do Rzymu. Życie i służba ks. Mieczysława Kowalczyka TChr”. Książka ta wyróżniona została przez Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Prócz tego był autorem artykułów do m.in. „Mówią Wieki”, „Dzieje Najnowsze” czy poznańskiego Biuletynu, bądź do pisma Zarządu Głównego Towarzystwa „Semper Fidelis”.

Każdy artykuł opierał na źródłach. Wybierał często tematy ciekawe, nieporuszane. Dużo miejsca poświęcał swoim rodzinnym Podhajcom. Posługiwał się w mowie i piśmie piękną polszczyzną, jego wystąpienia podczas Dni Lwowa i Kresów w Poznaniu cieszyły się wielkim zainteresowaniem. Ostatnim z jego artykułów na łamach Biuletynu był artykuł, który napisał na temat katastrofy pod Podhajcami angielskiego samolotu, który bił rekord odległości lotu w 1927 roku.

Lubiliśmy w naszej siedzibie siadać koło pana Iwo, rozmawiać na interesujące tematy. Rozmowy także często dotyczyły historii Kościoła. Pan Iwo był człowiekiem religijnym, który nikomu nie narzucał swoich poglądów. Często pożyczał młodym studentom książki historyczne, o których mówił, że nie muszą już oddawać. Pamiętamy też jego stoicki spokój, nigdy nie podnosił głosu, nikogo nie krytykował, chociaż wyrażał swoje opinie. Rozmawiał często z nieżyjącym już innym mieszkańcem Podhajec Eugeniuszem Łoteckim, który co srodę poruszał z Nim tematy historyczne oraz pytał Go o znane osoby z Podhajec.

Praca zawodowa, jaką podjął po studiach, to praca nauczyciela historii i wychowania obywatelskiego oraz propedeutyki nauki o społeczeństwie i wiedzy o społeczeństwie. Pracował w Liceum Ogólnokształcącym w Świebodzinie (Zielonogórskie), w Zespole Szkół Budownictwa nr 2 w Poznaniu



i w Niższym Seminarium Duchownym Księży Zmartwychwstańców w Poznaniu (od 1955 do 2003). Jego pasją było kręcenie filmów na taśmie 8 mm. Należał do Amatorskiego Klubu Filmowego przy Sanatorium Rehabilitacyjno-Ortopedycznym w Świebodzinie. W 1970 r. na przeglądzie filmów krótkometrażowych „Pol-8” w Polanicy-Zdroju otrzymał nagrodę za film „Zabytki Świebodzina”.

Członkiem Towarzystwa Miłośników Lwowa został 3 maja 1989 (legit. Nr 144). Przez kilka kadencji wchodził w skład Zarządu Poznańskiego Oddziału TML i KPW, przewodniczył Komisji Rewizyjnej, oraz wchodził w skład Sądu Koleżeńskiego. Poza redagowaniem „Biuletynu”, którego był współredaktorem, i w którym umieszczał bardzo interesujące, pisane piękną polszczyzną, artykuły o tematyce historycznej, dotyczące Kresów oraz ludzi tam mieszkających, pomagał w akcjach charytatywnych na rzecz rodaków na dawnych Kresach RP. Za swą działalność odznaczony został Złotą Odznaką TML i KPW w 1996 r.

Na emeryturę przeszedł w 2003 roku po 48 latach pracy zawodowej. Jako nauczyciel Iwo Werschler był bardzo lubiany. Do śmierci miał kontakt ze swoimi uczniami ze Świebodzina, którzy licznie przybyli na jego pogrzeb na poznańskim Junikowie.

„Pamięć, co weszła w przysłowie
Wersal w ukłonie, ruchu, mowie
Charakter ze światła kryształu
Wiedza na skrzydłach ideału”.

Tym czterowierszem studenci krakowscy opisali przed wojną historyka, profesora Oskara Haleckiego. Utwór ten wspaniale odzwierciedla także postać Iwo Werschlera.

Coraz więcej ubywa członków Poznańskiego Oddziału, którzy od początku należą do TML i KPW. Przybywają nieliczni. Wielu z kilkuset osób, które przewinięły się przez trzydzieści lat istnienia poznańskiego Oddziału, to osoby godne szacunku. Jednakże postać Iwo Werschlera nie ma sobie równej. To Człowiek wielkiego formatu, jednocześnie niezwykle skromny, szlachetny i dobry. Wielu z nas Go wspomina. Żyje nadal w naszej wdzięcznej pamięci.